

HUGON WILK.

CIEKAWY POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 4 □ Kwiecień 1911

Hugon Wilk.

Redaktor:
ARTUR OPPMAN (Or-Ot).



Wydawcy:
GEBETHNER I WOLFF.

ERCKMAN-CHATRIAN



Hugon Wilk

POWIEŚĆ

Tłómaczona z francuskiego

przez HAJOTĘ

Z 6-ciu ILUSTRACYAMI



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. □□□□ 1911



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0268318

DRUK PIOTRA LASKAUERA.
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.



- Czarna-Zaraza! — wyszeptał głosem przerażonym. str. 14)

k-84/76/64006 p

I.

Było to około świąt Bożego Narodzenia roku 18... Pewnego ranka spałem jak najsmaczniej w hotelu Pod Łabędziem we Fryburgu, gdy stary Gedeon Sperwer wszedł do mojego pokoju, wołając:

— Franek! ciesz się! zabieram cię do zamku Nideck, o dziesięć mil stąd. Znasz Nideck? Najwspanialsza siedziba magnatów w całym kraju i odwieczny zabytek chwały naszych ojców.

Muszę tu nadmienić, że nie widziałem Sperwera, mego szanownego wychowawcy, od lat szesnastu, że przez ten czas zapuścił brodę, że ogromna lisia czapka zakrywała mu czoło, aż na kark spadając, i że wreszcie zaświecił mi trzymaną w ręku latarnią pod samym nosem.

— Przedewszystkiem — zawołałem — zacznijmy od początku: Kto jesteś?

— Kto jestem? Jakto! nie poznajesz Gedeona Sperwera, strzelca z Szwarzwaldu? A niewdzięczniku! A któż cię wychował, żywił? Kto cię nauczył zastawiać sidła, tropić lisa i psami sarny gonić? I on mnie nie poznaje! Niewdzięcznik! Spójrzij-że na moje lewe ucho. Widzisz, że odmrożone.

— Bardzo pięknie! Poznaję cię po uchu. A teraz uściskajmy się.

Ucałowaliśmy się serdecznie, a Sperwer, ocierając sobie oczy rękawem, ponowił:

— Znasz Nideck?

— Naturalnie, ze słyszenia. Cóż ty tam robisz?

— Jestem pierwszym dojeżdżaczem u hrabiego.

— I któż cię tu przysłał?

— Hrabianka Odila.

— Dobrze. Kiedyż jedziemy?

— W tej chwili. Sprawa nagła, stary hrabia jest chory i córka jego poleciła mi, abym nie zwlekał ani chwili. Konie gotowe...

— Ależ, kochany Gedeonie, patrzaj-że, jaki czas. Od trzech dni śnieg pada bez przerwy.

— Ot! Głupstwo! Niech ci się zdaje, że tu chodzi o polowanie na dziki. Włóż ryngraf, przypnij ostrogi i — dalej! Ja tymczasem pójdę postarać się o jaką przekąskę na drogę.

Wyszedł, ale wrócił się jeszcze, poczeiwiec, przypominając mi, abym futra nie zapomniał.

Nie umiałem się nigdy oprzeć staremu Gedeonowi; od dzieciństwa robił ze mną, co chciał; dość mu było potrząsnąć głową lub wzruszyć ramionami. Ubrałem się więc żywo i pośpieszyłem za nim do sali hotelowej.

— A co! wiedziałem, że mi nie dasz samemu odjechać! — zawołał radośnie. — Zmiataj-no szynkę na jednej nodze i wypijmy strzemienego, bo konie się niecierpliwią. Ale!... kazałem twoją walizkę do siodła przytroczyć.

— Jakto! walizkę?

— A no tak! Nic na tem nie stracisz. Będiesz musiał kilka dni w Nidecku zabawić. Koniecznie! Wytlómaczę ci to w drodze.

Zeszliśmy na dziedziniec.

W tej-że chwili pojawiło się tam dwóch jeźdźców; zdawali się bardzo zmęczeni, a rumaki ich okryte były pianą. Sperwer, wielki miłośnik koni, zawołał ze zdziwieniem:

— Co za tęgie bestye! Jakie zwinne! Istne jelenie! Hej, Mikołaj! żywo! okryj je derkami, bo po takim ogrzaniu zimno-by im mogło zaszkodzić.

Podróźni, otuleni w białe astrachańskie futra, przeszli koło nas, gdyśmy dosiadali koni; zauważyłem, że jeden z nich miał bujne ciemne wąsy i czarne, nadzwyczaj bystre oczy.

Obydwaj weszli do hotelu.

Masztelarz, który nam trzymał konie, puścił cugle z życzeniem szczęśliwej podróży i ruszyliśmy z kopyta.

Sperwer siedział na meklemburczyku czystej krwi; ja miałem pod sobą ardeńskiego konika, żywego jak iskra—pędziliśmy po śniegu cwałem. W dziesięć minut ostatnie domy fryburskie mignęły przed naszymi oczyma i znaleźliśmy się na czystym polu.

Czas wyjaśnił się trochę. Jak okiem zasięgnąć, nie było widać śladu drogi, ani ścieżki nawet. Jedynymi naszymi towarzyszami były kruki szwarewaldzkie, które, rozkładając na zaspach śnieżnych swe wielkie czarne skrzydła, podlatywały z miejsca na miejsce z ponurym krzykiem, zdając się wołać: Biada!... Biada!... Biada!...

Gedeon, zakutany w futro z dzikich kotów, nasuwałszy czapkę na uszy, galopował przodem, gwizdząc

jakaś arzę z Wolnego Strzelca; czasem odwracał się ku mnie i wtedy widziałem kroplę wody, błyszcząca na końcu jego długiego, zakrzywionego nosa.

— Ho! ho! Franku! — mówił — otóż to zimowy poranek co się zowie!

— Zapewne, tylko trochę za ostry.

— Ja tam lubię czas mroźny! To krew rozgrzewa. Gdyby stary pastor Tobiasz zdobył się na odwagę i przejechał się na taki czas, toby i o reumatyzmie na zawsze zapomniał.

Po godzinie takiej szalonej jazdy, Sperwer zwolnił biegu i zrównał się ze mną.

— Franku — rzekł poważniej — potrzeba jednak, abyś wiedział, po co jedziesz.

— I mnie-by się tak zdawało.

— Tembardziej, że już Bóg wie ilu doktorów leczyło hrabiego.

— A!

— Tak. Mieliśmy lekarzy z Berlina w perukach, którzy mu tylko na język patrzyli, ze Szwajcaryi... ci znowu badali tylko jego wodę, z Paryża... ci przyglądali mu się przez jakieś szkiełko. Ale wszyscy tyle mu pomogli, co umarłemu kadzidło, i tylko sobie grubo za swoje nieuctwo zapłacić kazali.

— Tam do licha! jak ty nas traktujesz!

— No! nie mówię tego do ciebie! Owszem, w tobie mam zaufanie i gdyby mi się tak zdarzyło złamać nogę, wolałbym się powierzyć tobie, niż każdemu innemu, ale co się tyczy wewnętrznych chorób... no! przecież nie odkryliście jeszcze takiej lunety, przez którą możnaby widzieć, co się w człowieku dzieje.

— Skądże ty to wiesz? Możemy i odkryli.

Na te słowa pocziwiec spojrzął na mnie z ukosa, jakgdyby chciał powiedzieć:

— Czy i ten jest takim szarlatanem, jak inni?—ale mimo to mówił dalej:

— A no! Franku, jeżeli masz taką lunetę, to ci się bardzo przyda, bo choroba hrabiego jest właśnie wewnętrzna. Straszna to choroba. Coś w rodzaju wścieklizny. Wiesz, że wścieklizna objawia się po dziewięciu godzinach, po dziewięciu dniach, albo po dziewięciu tygodniach?

— Tak mówią, ale wątpię, bom się sam o tem nie przekonał.

— Wiesz także, że bywają zgnile gorączki, wracające się co trzy lata lub więcej. Człowiek jest maszyną dziwnego nabożeństwa. Jak się w nim ten przeklęty werk nakręci w pewien sposób, to febra, kolki, ból zębów wracać mu się będą o jednym czasie co do minuty.

— Ba! mój Gedeonie... komu to mówisz! To moja rozpacz te peryodyczne choroby!

— Tem gorzej! choroba hrabiego jest peryodyczna. Wraca się co rok jednego dnia, o jednej porze; wtedy piana występuje mu na usta, oczy robią się białe, jak kulki ze słoniowej kości, drży od stóp do głowy i zgrzyta zębami.

— Zapewne musiał przechodzić przez wielkie nieszczęścia?

— Gdzie tam! Gdyby córka jego chciała iść za mąż, byłby najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Jest bogaty, możny, obsypany zaszczytami. Ma wszystko, do czego inni wzdychają naprózno. Na nieszczęście córka

jego odmawia każdemu, co się o nią stara. Chce wstąpić do klasztoru, a jego to martwi pomyśleć, że stary ród Nidecków wygaśnie.

— Jakże się objawiła jego choroba?

— Nagle, przed dwunasty laty.

Tutaj Gedeon zdawał się namyślać; wyjął z pod futra krótką fajeczkę, nałożył ją zwolna, poczem, zapaliwszy ją:

— Pewnego wieczora — rzekł — byłem sam z hrabią w zbrojowni zamkowej. Było to około świąt Bożego Narodzenia. Cały dzień upędzaliśmy się za dzikiem po różnych wertepach i wróciliśmy o zmierzchu, przywołując ze sobą tylko dwa psy rozdarte na poły. Na dworze było zupełnie tak, jak teraz: zimno i śnieżno. Hrabia przechadzał się po sali z głową pochyloną i rękami w tył założonemi, jakgdyby pogrążony w myślach. Od czasu do czasu przystawał i patrzył na wysokie okna, na których śnieg się gromadził. Ja grzałem się przy kominku z myślą o moich biednych psach i przeklinając wszystkie dziki w Szwarewaldzie. Od dwóch godzin wszyscy już w zamku spali i słychać było tylko brzęk ostróg hrabiego, dzwoniących o kamienną posadzkę. Pamiętam doskonale, jak kruk, gnany zapewne wiatrem, uderzył skrzydłem o szybę, wydając krzyk ponury, i że cały płat śniegu się oderwał, a okna, dotąd białe, stały się czarnemi, jak noc, z owej strony.

— Czy te szczegóły mają związek z chorobą hrabiego?

— Daj mi skończyć, a zobaczysz. Na ten krzyk hrabia zatrzymał się z wyteżonym wzrokiem, blady, wyciągając szyję, jak strzelec, czatujący na zwierzynę. Ja

grzałem się ciągle, myśląc sobie: „Czy hrabia dziś wcale spać nie pójdzie?“ Bo, prawdę powiedziawszy, padałem ze znużenia. Wszystko to widzę, jakgdyby się to działo w tej chwili. Równy z krzykiem kruka, zegar wybił jedenastą godzinę. Nagle hrabia wykręca się, nadśluchuje... rusza ustami. Widzę, że chwieje się, jak pijany. Wyciąga ręce, oczy mu bieleją. Ja wołam: „Panie hrabio, co panu jest!“ A on zaczyna się śmiać, jak waryat, i upada twarzą na ziemię. Krzyczę na pomoc, służba się zbiega. Sebałt bierze hrabiego za nogi, ja za ramiona i przenosimy go na łóżko, stojące pod oknem. Właśnie rozcinałem hrabiemu chustkę na szyi moim nożem, bo myślałem, że to atak apoplektyczny, aż tu wchodzi hrabina i rzuca się na ciało hrabiego z takim rozpaczliwym krzykiem, że na samo wspomnienie aż dreszcz mnie przechodzi.

Tu Gedeon wyjął z ust fajkę, wytrząsnął ją zwolna i ciągnął dalej, melancholijnym głosem:

— Od tego dnia, Franku, dyabeł zamieszkał w zamku Nideck i wyprowadzić się zeń nie chce. Co rok o tej samej porze powtarza się ta sama historia z hrabią. Trwa to przez dwa tygodnie i biedak krzyczy wtedy... aż włosy na głowie powstają. Potem powoli, powoli wraca do zdrowia. Jest blady, osłabiony, włóczy się z krzesła na krzesło, a za najłżejszym szelestem odwraca się, jakby przelekniony. Boi się własnego ciała. Hrabianka, najłagodniejsza w świecie istota, nie odstępowała go, ale on patrzeć na nią nie może: — Idź precz!! idź precz! — woła, wyciągając ręce. — Zostaw mnie! ach, zostaw mnie! Alboż nie dosyć cierpiałem?“ Straszno tego słuchać, i ja... ja nawet, który mu wszędzie towarzyszę,

ja, którybym się dał za niego porąbać... udusiłbym go w takich chwilach za to, że tak okropnie obchodzi się z własną córką.

Tu Sperwer, którego szorstkie oblicze przybrało wyraz ponury, spał konia ostrogami i znowu popędziliśmy galopem.

Ja byłem zadumany. Uleczenie podobnej choroby wydawało mi się rzeczą bardzo wątpliwą, prawie niepodobną. Była to widocznie choroba moralna; aby ją zważyć, należało zbadać jej przyczynę, a przyczyna ta gięła w pomroce przeszłości.

Niepokoili mnie te myśli. Opowiadanie starego dojeżdźacza, zamiast dodać mi odwagi, przygnębiło mnie tylko, a takie usposobienie złą jest rekojmią powodzenia. Było już około trzeciej popołudniu, gdy stary zamek Nideck ukazał nam się na skraju widnokregu. Pomimo znacznej odległości można już było rozróżnić jego wysokie wieżyce, rysujące się na bladym lazurze nieba.

W tej chwili Sperwer zwolnił biegu i zawołał:

— Franku! musimy tam być przed nocą. Naprzód!

Ale napróżno kłuł ostrogami boki swego wierzcho-wca: koń cofał się przerażony, rozstawiając przednie nogi, jeżąc grzywę, a z nozdrzy buchała mu błękitnawa para.

— Co to znaczy? — zawołał Gedeon zdumiony — Franku! nie widzisz czego? Czyby to...

Urwał, a wskazując mi o pięćdziesiąt może kroków od nas jakąś postać skuloną w śniegu:

— Czarna-Zaraza! — wyszeptał głosem tak przerażonym, że mnie to samego zmieszało.

Zwróciwszy oczy w kierunku, wskazanym mi przez

niego, ujrzałem starą kobietę, siedzącą na ziemi, skurczoną tak, że broda jej dotykała kolan, i okryta łachmanami, niedostatecznie zasłaniającymi jej ciało ceglaste-go koloru. Kosmyki siwych włosów opadały jej na szyję długą, czerwoną i nagą, jak szyja sępa.

Siedziała nieruchomie z zawiniątkiem na kolanach, utkwivszy błędny wzrok w zaśniewanej płaszczyźnie.

Sperwer zwrócił konia na lewo, okrążając starą z tak daleka, że go ledwie dopędzić zdołałem.

— Cóż u dyabła! — krzyknąłem. Jakich ci się tam żartów zachciewa?

— Żartów!?! Broń mnie, Boże, żebym sobie z takich rzeczy żartować pozwalał... Nie jestem zabobny, ale przstraszyło mnie to spotkanie.

Mówiąc to, odwrócił się, a widząc, że stara patrzyła wciąż w tym samym kierunku, uspokoił się nieco.

— Franku, — rzekł uroczyście — jesteś uczonym, wiesz wiele rzeczy, o których ja nawet pojęcia nie mam, ale tego się dowiedz ode mnie, że zawsze to źle żartować z tego, czego się nie rozumie. Nie bez powodu nazywam tę kobietę: Czarną-Zarazą. W całym Szwarzwaldzie nikt o niej inaczej nie mówi, ale zwłaszcza tutaj, w Nidecku, przezwisko to słusznie jej się należy.

Sperwer umilkł i jechaliśmy tak czas jakiś.

— No! — rzekł wreszcie — wytłómacz się jaśniej, bo nic tego nie rozumiem.

— Tak, tak, ta czarownica to całe nasze nieszczęście, od niej wszystko złe pochodzi — ona to zabija hrabiego.

— Czy to podobna! Jakimże sposobem taki wpływ na niego wywierać może?

— Albo ja wiem. To tylko pewna, że pierwszego dnia

choroby, w chwili, gdy hrabia dostaje ataku, Czarna-Zaraza ukazuje się na płaszczyźnie pomiędzy lasem tiefenbachskim a Nideckiem. Trzeba tylko wejść na sygnałową wieżę, a zobaczy się ją siedzącą samą, nieruchomą, niby czarną plamę. Codzień przybliża się i wtedy ataki hrabiego gwałtowniejszymi się stają, zupełnie, jakby czuł jej obecność. Czasem, pierwszego dnia, przy pierwszych dreszczach, hrabia mówi do mnie: „Gedeonie, ona przychodzi“. Ja go trzymam i uspokajam, jak mogę, ale on powtarza ciągle: „Już idzie, och! och! już idzie! idzie“. Wtedy wchodzę na wieżę Hugona i patrzę. Wiesz, że mam dobre oczy, spostrzegam więc w oddaleniu jakiś czarny punkcik. Nazajutrz punkcik staje się wyraźniejszym; hrabia kładzie się do łóżka, szcękając zębami. Trzeciego dnia można ją już widzieć dokładnie na odległość dwóch strzałów karabinowych; ataki się zatrzymują, hrabia krzyczy w niebogłosy. Piątego czarownica jest już u stóp góry; wtedy hrabia ma szczęki zaciśnięte, piana mu się toczy z ust... oczy stają kolemem... A! niegodziwa! I pomyśleć, że już z jakie dwadzieścia razy celowałem do niej i że ten biedny hrabia nie pozwolił mi posłać jej kulki na pamiątkę! Wołał: „Nie! nie! Sperwerze! Nie chcę krwi!“ Biedaczysko! oszczędzać tę, która go zabija... Bo ona go zabija, Franku! Już tylko skóra i kości na nim zostały.

Pocziwy Gedeon był tak uprzedzony przeciwko starej, że nie można było myśleć o przemówieniu do jego rozsądku. Zresztą, jakież człowiek ośmieli się nakreślić granice temu, co możliwe, skoro każdy prawie dzień rozszerza pole rzeczywistości? Te wpływy ukryte, te tajemnicze oddziaływania, te stosunki niewidzialne, cały

ten świat magnetyczny, w który jedni wierzą tak silnie, a którego istnieniu drudzy zaprzeczają ironicznie, któż zaręczy, że jutro, pojutrze nie wybuchnie pośród nas, jak wulkan podziemny? Jak to łatwo o rozsądek wśród ogólnej nieświadomości!

Ograniczyłem się więc do proszenia Sferwera, aby swój gniew pohamował, a zwłaszcza, aby nie strzelał do starej, ostrzegając go, żeby mu to nieszczęście przyniosło.

— Et! drwię sobie z tego — odpowiedział. — Wiśiałbym w najgorszym razie i kwita.

— To i tak za wiele dla uczciwego człowieka.

— Hm! taka to śmierć, jak każda inna. Tchu braknie i po wszystkim. Wolę to nawet, aniżeli dostać obuchem w głowę, jak w apopleksyi, albo nie módz spać, łykać, trawić, kichać, jak w innych chorobach.

— Kochany Gedeonie, bardzo źle rezonujesz na twoje siwe włosy.

— Siwe, nie siwe, a ja tak na te rzeczy patrzę. Mam zawsze strzelbę w pogotowiu na usługi tej czarownicy, i jeżeli sposobność się nadarzy...

Zdanie to skończył wyrazistym giestem.

— Żebyś postąpił, Sperwerze, bardzo źle. Jestem zdania hrabiego Nidecka. Nie chcę rozlewu krwi. Pewien wielki poeta powiedział: „Wszystkie wody oceanu nie zdołają zmyć jednej kropli krwi ludzkiej“. Zastanów się nad tem, mój przyjacielu, i kulę, przeznaczoną tej staruszce, pošlij pierwszemu dzikowi, jakiego napotkasz.

Słowa te zrobiły wrażenie na umyśle starego myśliwca; spuścił głowę i oblicze jego przybrało wy-

raz zadumy. Przebywaliśmy wtedy zarośla, oddzielające nędzną wioskę Tiefenbach od zamku Nideck.

Ściemniło się już zupełnie. Śnieg — jak się to najczęściej zdarza po jasnym i mroźnym dniu zimowym — zaczął znów padać; wielkie jego płaty topniały na grzywach koni, które rżały i biegły szybciej, czując, że już są blisko domu.

Co pewien czas Sperwer oglądał się poza siebie z widocznym niepokojem, a i ja sam doświadczałem nieokreślonej jakiejś obawy, myśląc o dziwnej chorobie mego przyszłego pacyenta.

Zresztą umysł ludzki dostraja się zwykle do otaczającej go natury, a co do mnie, nie znam nic smutniejszego nad las bezlistny, okryty szronem i wstrząsany wiatrem; drzewa robią wtedy wrażenie kościotrupów.

W miarę, jak się posuwali naprzód, dęby stawały się rzadsze, kilka brzoź prostych i białych, niby marmurowe kolumny, rysowało się tu i owdzie na ciemnozielonem tle jodeł, gdy nagle przy wyjeździe z lasu stare zamczysko stanęło przed nami olbrzymią czarną masą, oświetloną gdzieniegdzie punkcikami świateł.

Sperwer zatrzymał się przed bramą, wciśniętą między dwie wieże i opatrzoną żelazną kratą.

— Jesteśmy przecie! — zawołał, pochylając się na koniu.

Uchwycił nóżkę jelenią, wiszącą wzdłuż muru, i czysty odgłos dzwonka rozległ się w oddali.

Po kilku minutach oczekiwania, w głębi sklepienia błysnęła latarnia, rozświecając ciemności, a także trzymającego ją małego garbuska, którego postać przypominała fantastyczne gnomy z Nibelungów.

Zbliżył się z wolna, przyłożył szeroką swoją twarz do okratowania, usiłując rozpoznać nas w pomroce.

— Czy to ty, Sperwerze? — zapytał ochrypłym głosem.

— Otwieraj-że, do stu piorunów, Knapwurscie! — krzyknął. — Czy nie czujesz, jakie to psie zimno?

— Teraz cię poznaję — odparł człowieczek. — Tak, tak, to ty. Gdy mówisz, zdawałoby się, że chcesz ludzi na sztuki rozrywać!

Po chwili brama się otwarła i karzeł, wznosząc ku mnie latarnię, pozdrowił mnie słowami: Wilkom, her doctor (witam pana, panie doktorze), przyczem zrobił szczególniejszy grymas, jakby chciał powiedzieć: „Masz tobie, jeszcze jeden, który sobie pójdzie z kwitkiem, jak drudzy“. Następnie zamknął bramę i zajął się końmi, z których zsiadliśmy tymczasem.

II.

Idąc za Sperwerem, który szybkim krokiem stapał po schodach, mogłem się przekonać, że zamek Nideck zasługiwał na opinię, jaką o nim miano. Była to prawdziwa w skale wykuta twierdza, jedna z owych dawniejszych feodalnych warowni. Wysokie jej sklepienia odbijały echo naszych kroków, a światło pochodni, tkwiących tu i owdzie w murze, drżało od wiatru, wciskającego się przez strzelnicę.

Sperwer znał wszystkie zakątki tego ogromnego domostwa, skręcał to na prawo, to na lewo tak prędko, że ledwie mu nadążyć mogłem. Wreszcie zatrzymał się w obszernej sieni i rzekł:

— Franku, zostawię cię na chwilę z tutejszymi ludźmi, a sam pójdę powiadomić hrabiankę Odilę o twojem przybyciu.

— Dobrze, rób, jak chcesz.

— Zastaniesz tam naszego marszałka, Tobiasza Offenlocha, starego żołnierza z pułku Nideck; odbywał on kiedyś kampanię francuską pod dowództwem hrabiego.

— Bardzo dobrze.

— Zobaczysz także jego żonę, Francuzkę, zwana Maryą Lagoutte, która utrzymuje, że pochodzi z dobrej familii.

— Dlaczegożby nie?

— No, zapewne; tylko — między nami mówiąc — jest to po prostu dawna markietanka wielkiej armii. Przywiozła nam Tobiasza Offenlocha na swoim wózku, pielęgnowała go, bo go kula pozbawiła nogi, i biedaczysko ożenił się z nią przez wdzięczność... rozumiesz?

— Doskonale... tylko otwieraj, bo marznę.

I chciałem przejść, ale Sperwer, uparty, jak każdy rodowity Niemiec, zagroził mi drogę i, trzymając mnie za poły płaszcza, udzielał mi dalszych szczegółów o osobach, z którymi zapoznać się miałem.

— Dalej zobaczysz tam Sebalta Krafsta, wielkiego łowczego; nieszczególny z niego kompan, ale niech-no mi pokażą drugiego takiego, coby tak w róg zadać potrafił; poznasz także Karola Trumpfa, kredencera, Chrystyana Beckera, jednym słowem wszystkich domowników, jeżeli tylko jeszcze się spać nie pokładli.

Powiedziawszy to, popchnął drzwi, a ja znalazłem się na progu ciemnej i wysokiej komnaty, która dawniej była strażnicą. Na pierwszy rzut oka zauważyłem w głębi trzy okna, wzniesione nad przepaścią. Po prawej ręce był rodzaj kredensu dębowego, na kredensie stał antałek, butelki i szklanki. Po lewej kominek w stylu gotyckim, obramowany rzeźbą, przedstawiającą polowanie na dziką, a którą teraz suty ogień oświecał; wreszcie środek sali zajmował stół długi, na którym królowała ogromna latarnia.

Wszystko to ogarnąłem jednym rzutem oka, poczem

wzrok mój zatrzymał się dłużej na znajdujących się tam osobach.

Poznałem najpierw marszałka po drewnianej nodze. Był to mężczyzna niski, krępy, rumiany, z dużym bruchem i nosem czerwonym i okrytym brodawkami, jak dojrzała malina; miał wielką, konopiastą perukę, ubranie z ciemno-zielonego pluszu, ozdobione stalowymi guzami, spodnie aksamitne, pończochy jedwabne i srebrne sprzączki u trzewików. Odszpuntowywał właśnie antałek, z wyrazem nieopisanego zadowolenia na twarzy, a wypukłe jego oczy błyszczały z profilu, jak szkiełka od zegarka.

Jego żona, zacna Marya Lagoutte, ubrana w suknię osobliwego kroju, z twarzą długą i żółtą, jak wyprawna skóra, grała w karty z dwoma innymi służącymi, którzy siedzieli poważnie w poręczowych krzesłach.

— Jak się macie, koledzy! — zawołał Gedeon, wchodząc.

Wszyscy zwrócili się ku nam.

— A nasz pan jak się miewa?

— Hu! — odparł marszałek przeciągle, wystawiając dolną wargę. — Hu!

— Zawsze jednakowo?

— Prawie — rzekła Marya Lagoutte, która nie spuszczała ze mnie oka.

Sperwer to spostrzegł.

— Przedstawiam wam mego wychowanka, doktora Fritza ze Szwarcwaldy — rzekł z pewną dumą. — A! wszystko się tu zmieni, panie Tomaszu. Teraz, kiedy przyjechał doktor Fritz, którego ja sobie po prostu Frankiem nazywam, przekłete choróbsko musi uciekać

za bory, za lasy. Gdyby mnie byli dawniej posłuchali...—
No, ale zawsze lepiej później, niż nigdy.

Marya Lagoutte wciąż na mnie patrzyła i widocznie przypadłem jej do gustu, bo, zwracając się do marszałka, zawołała:

— Nuże, panie Offenloch!... nuże — rusz-że się!
Podaj krzesło panu doktorowi. Cóż tak stoisz zagapiony?
Ach, panie doktorze! ci Niemcy!

I dobra kobiecina, powstawszy żywo, jakby za naciśnięciem sprężyny, podbiegła ku mnie, aby mi w zdjęciu futra dopomódz.

— Niechże pan doktor pozwoli...

— Proszę się nie fatygować, kochana pani!

— Nic, nic, niech pan doktor na to nie zważa. Co za czas! Co za kraj!

— Więc nasz pan nie ma się ani lepiej, ani gorzej—
rzekł Sperwer, otrząsając śnieg z czapki. — Przybywamy na czas. Hej! Kasper! Kasper!

Na to wołanie mały człowieczyna piegowaty, z jednem ramieniem nieco podniesionem, wyszedł z za kominka.

— Cóż takiego?

— Przygotuj pokój dla pana doktora... ten pokój na końcu galerii, pokój Hugona — wiesz?

— Dobrze, Sperwerze, w tej chwili.

— Poczekaj jeszcze. Przechodząc, weźmiesz walizkę doktora. Knapwurst ci ją odda. A co się tyczy kolacyi...

— No, no, nie kłopotcz się o to.

Kasper wyszedł, a Gedeon, uwolniwszy się z płaszcza, opuścił nas także, aby powiadomić hrabiankę o mojem przybyciu.

Marya Lagoutte zawstydziała mnie aż swoją uprzejmością.

— Usuń-no się stąd, Sebalcie — rzekła do wielkiego lowczego — już się dosyć nagrzał od rana. Niech pan doktor siądzie przy ogniu — musi być panu zimno. Niech pan wyciągnie nogi... Ot tak!

Poczem podała mi tabakierkę, pytając:

— Czy pan doktor zażywa?

— Nie, kochana pani, dziękuję.

— To źle — rzekła, napychając sobie nos tabaką—
to źle: pozbawia się pan największej osłody życia.

Schowała tabakierkę do kieszeni i mówiła dalej:

— Przybywa pan w porę, panie doktorze; nasz pan miał wczoraj drugi atak, straszny atak, nieprawdaz, panie Offenloch?

— Straszny! — potwierdził z powagą marszałek.

— Nic dziwnego — ciągnęła dalej — kiedy kto nic nie je; bo on nic nie je, panie doktorze. Wyobraż pan sobie, że od dwóch dni nie wypił nawet filiżanki bulionu.

— Ani kieliszka wina — dodał jej małżonek, zaplatając ręce na brzuszku.

Uznałem za stosowne pokiwać głową na znak zdumienia, a pan Tobiasz Offenloch zajął miejsce obok mnie, mówiąc:

— Wierzaj mi, panie doktorze, przepisuj mu pan butelkę dobrego wina na każdy dzień.

— I pożywne jedzenie —przerwała Marya Lagoutte. Biedak jest chudy, aż strach patrzeć!

— Mamy doskonały johanisberg z jedenastego roku, bo Francuzi nie wypili wszystkiego, jak utrzymuje pani Offenlochowa — mówił dalej marszałek. — Mógłby mu

pan doktor przepisać porządny łyk johanisbergu od czasu do czasu. Niema, panie, jak to wino. Zaraz człowieka na nogi postawi.

— Dawniej — ozwał się melancholijnie wielki łowczy — dawniej nasz pan jeździł na polowanie dwa razy w tydzień i był zdrow; teraz nie poluje i jest chory.

— To bardzo naturalne — zauważyła Marya Lagoutte. — Ruch i powietrze wzbudzają apetyt. Pan doktor powinien-by mu kazać, żeby jeździł na polowanie trzy razy w tydzień.

— Dwa razy-by wystarczyło — rzekł poważnie wielki łowczy — dwa razy, nie więcej. Psy także wypocząć potrzebują; psy są tak dobre stworzenia, jak ludzie.

Nastąpiło chwilowe milczenie, przerywane tylko ponurym świstem wiatru w strzelnicach.

Sebalt założył nogę na nogę i, oparłszy łokieć na kolano, a podbródek na rękę, patrzył na ogień z wyrazem niewymownego smutku. Marya Lagoutte, zażywszy znowu niuszek tabaki, poprawiała faldy swej sztywnej sukni, a ja zastanawiałem się nad tą ogólnoludzką ułomnością, jaką jest wzajemne prześladowanie się radami.

Po chwili marszałek domu powstał.

— Może pan doktor napije się szklanek wina? — zapytał, opierając się o poręcz mego fotelu.

— Dziękuję; nie piję nigdy przed wyegzaminowaniem chorego.

— Jako! nawet ani jednego kieliszka?

Zrobił wielkie oczy i spojrzał na żonę z podziwieniem.

— Pan doktor ma słuszość — rzekła kobieta —

i ja tak samo robię: wolę zawsze pić przy jedzeniu, a potem na zakończenie kieliszek koniaku. W moim kraju damy piją koniak. To o wiele wytworniejszy napój od wiszniaku.

Zaledwie Marya Lagoutte udzieliła mi tych spostrzeżeń, Sperwer uchylił drzwi i dał mi znak, abym szedł za nim.

Ukloniłem się szanownemu zgromadzeniu, a gdy wychodził do sieni, usłyszałem żonę marszałka, mówiącą do swego męża:

— Ten młody człowiek bardzo mi się podoba. Byłby z niego piękny karabinier.

Sperwer wydawał się zaniepokojonym; nic nie mówił, a i ja także byłem zadumany.

Kilka kroków pod ciemnymi sklepieniami Nidecku zatarło zupełnie w mojej pamięci postacie Tobiasza Offenlocha i Maryi Lagoutte, tych istot nieszkodliwych, żyjących jak kolibry pod osłoną potężnego skrzydła sępa.

Wkrótce Gedeon wprowadził mnie do wspaniałej sali, obitej fioletowym aksamitem ze złotem. Bronzowa lampa, stojąca na kominku i przysłonięta kloszem z matowego kryształu, oświecała ją słabo. Gruby dywan, zaścielający posadzkę, stłumił odgłos naszych kroków; był to jakby przybytek milczenia i rozmyślenia.

Wchodząc, Sperwer podniósł ciężkie draperye, zasłaniające okno, i spojrzał w dal. Zrozumiałem jego myśl: chciał się przekonać, czy czarownica siedziała wciąż na śnieżystej płaszczyźnie; ale nic nie zobaczył, bo noc była ciemna.

Ja tymczasem postąpiłem parę kroków i przy błedym świetle lampy ujrzałem wąża, bladą postać, siedzącą

w gotyckim fotelu, nieopodal chorego: była to Odila Nideckówna. Jej długa czarna suknia, postawa tętnąca zadumą i rezygnacją, oraz idealne linie rysów przypominały owe mistyczne kreacje wieków średnich, które sztuka nowożytna zaniedbała, ale które mimo to w zapomnienie nie poszły.

Czego doznałem na widok tego białego posągu? Nie wiem. Było coś religijnego w mojem wzruszeniu. Usłyszałem w duszy jakby echa starych ballad i pobożnych pieśni, jakimi nianki ze Szwarewaldu kołysały moje dziecięce smutki i do snu kołysały.

Za mojem zbliżeniem się Odila powstała.

— Witam pana, panie doktorze — rzekła mi z czarującą prostotą; poczem, wskazując mi ręką alkowę, gdzie leżał hrabia, dodała:

— Mój ojciec jest tam.

Skłoniłem się głęboko i, nic nie mówiąc, tak byłem wzruszony, przystąpiłem do łoża chorego.

Sperwer, stojąc u wezłowania, podnosił lampę jedną ręką, trzymając futrzaną czapkę w drugiej. Odila stała przy mnie. Światło, stłumione matową osłoną, padało łagodnie na hrabiego.

Od pierwszego rzutu oka uderzyła mnie dziwna powierzchność pana Nidecka i pomimo uwielbienia, jakim mnie przejęła jego córka, pomyślałem sobie: „To stary wilk“.

W istocie, ta siwa, krótko ostrzyżona głowa, dziwnie wydęta z tyłu poza uszami, a wydłużona na przodzie, czoło wąskie u góry, rozszerzone u dołu, kształt powiek, zbiegających skośnie ku nosowi, broda krótka i gęsta, okalająca kościste szczęki—wszystko w tym człowieku

przejęło mnie dreszczem i dziwne myśli o powinowactwach zwierzęcych przemknęły mi przez głowę.

Przewyciężyłem się przecież i wziąłem chorego za rękę. Ręka to była chuda, muskularna i mała.

Z punktu widzenia medycznego skonstatowałem puls gorączkowy, prędko i rozdrażnienie nerwowe, dochodzące do konwulsyjnych drgawek.

Co począć?

Zastanawiałem się: z jednej strony zaniepokojona hrabianka, z drugiej Sperwer, śledzący każdy mój ruch, jakby mnie chciał do głębi przeniknąć, odejmowali mi swobodę. Poznałem przecież, że jak na teraz nie można było nic stanowczego przedsięwziąć.

Puściłem rękę chorego, słuchając oddechu. Od czasu do czasu coś jakby łkanie podnosiło pierś hrabiego, poczem oddech stawał się coraz szybszy, dochodząc do zadyszania. Widocznie dręczył go jakiś sen przykry. Byłaż to epilepsya, czy konwulsye? Mniejsza o to — ale przyczyna! ta mi się wymykała, a posiadanie jej było mi niezbędne.

Odwróciłem się zamyślony.

— I cóż? Czegoż się można spodziewać? — zapytała hrabianka.

— Atak wczorajszy już przemija. Chodzi teraz z zapobieżeniem następnemu.

— Czy to możliwe, panie doktorze?

Miałem odpowiedzieć jakimś ogólnikiem naukowym, nie śmiejąc się jaśniej tłómaczyć, gdy uszu naszych doleciał dźwięk dzwonka.

— Ktoś przyjechał — rzekł Sperwer.

Nastąpiło chwilowe milczenie.

— Idź, zobacz — rzekła Odila, której czoło zasepiło się z lekka. — Mój Boże! jak tu myśleć o obowiązkach gościnności w takich okolicznościach. To niepodobna!

W tej chwili otwarły się drzwi, wyrzała przez nie jasnowłosa głowa i głos kobiecy szepnął:

— Pan baron Zimmer-Blouderic, w towarzystwie swego masztelarza, prosi o schronienie. Zabłąkał się w górach.

— Dobrze, Gretchen — odparła hrabianka ze słodyczą. — Idź, uprzedź marszałka, żeby przyjął pana barona. Niechaj mu powie, że hrabia jest chory i że, gdyby nie to, ugościłby go osobiście. Niech służba będzie na jego zawołanie — i wszystko jak potrzeba.

Niepodobna opisać, z jaką pełną godności prostotą młoda pani wydawała te rozkazy. Jeżeli szlachetność zdaje się być dziedziczną w pewnych rodzinach, to zapewne dlatego, że wykonywanie powinności, jakie bogactwo na nie nakłada, podnosi i uzacnia duszę.

Myślałem o tem, poglądając na arystokratyczną postać, czysty profil i wdzięczne ruchy Odili Nideckówny. Nigdy nic podobnego nie zdarzyło mi się dotąd widzieć.

— Idź, Gretchen, śpiesz się — rzekła hrabianka, a odwracając się ku mnie, rzekła z melancholijnym uśmiechem:

— Widzisz pan, nie można się niczemu całkowicie oddać, nawet boleści. Trzeba się ciągle dzielić pomiędzy świat a swoje uczucia.

— To prawda, pani — odparłem — dusze wybrane należą do szczęśliwych; zbłąkany wędrowiec, żebrak, cho-

ry, każdy ma prawo odwołać się do nich, bo Bóg stworzył je, jak gwiazdy, dla szczęścia wszystkich.

Odila spuściła oczy, a Sperwer uściśnął mi z lekka rękę.

Po chwili ozwała się znowu:

— Ach, panie! gdybyś uratował mi ojca!

— Atak już minął, jak to miałem zaszczyt pani objawić. Chodzi tylko o to, aby się nie powtórzył.

— I pan się tego spodziewasz?

— Przy pomocy Boga, nie jest to niemożliwe. Zastanowię się nad tem.

Odila, wzruszona, przeprowadziła mnie do drzwi. Obaj ze Sperwerem minęliśmy przedpokój, gdzie kilku ze służby czekało na rozkazy pani. Weszliśmy w korytarz, gdy Ge-deon, który szedł naprzód, odwrócił się nagle i, położywszy mi obie ręce na ramionach:

— No, Franku — rzekł, patrząc mi prosto w oczy — jestem mężczyzną, mnie możesz wszystko powiedzieć. Cóż o tem myślisz?

— Na tę noc niema się czego obawiać.

— Dobrze, wiem to już, mówiłeś to hrabiance. Ale jutro?

— Jutro?

— Tak, nie odwracaj głowy. Przypuściwszy, że atak się powtórzy, powiedz mi otwarcie: jak myślisz, czy hrabia umrze?

— To możliwe, ale mnie się nie zdaje.

— E! — zawołał poczeiwiec, podskakując z radości — jeżeli ci się nie zdaje, to znaczy, że jesteś tego pewny.

I, wzięwszy mnie pod ramię, poprowadził przez

galerye. Tam spotkaliśmy barona Zimmer-Blouderica i jego masztelarza wraz z Sebaltem, który ich poprzedał, niosąc zapaloną pochodnię. Szli do przeznaczonych im pokoiów i obaj w płaszczach zarzuconych na ramiona, w wysokich węgierskich butach i niedźwiedzich kołpakach z kordelasami zatkniętymi za pas wyglądali dziwnie malowniczo przy białem, żywicznym świetle.

— Patrzaj-no — rzekł Sperwer — jeżeli się nie mylę, to są nasi podróżni z Fryburga. Musieli niedaleko za nami jechać.

— Nie mylisz się, to oni. Poznają młodszego po wysokiej postawie, orlim profilu i wąsach à la Wallenstein.

Wkrótce zniknęli nam z oczu.

Gedeon, wziął pochodnię, tkwiącą w murze, i prowadził mnie dalej przez istny labirynt korytarzy, sklepień niskich, wysokich, śpiczastych, owalnych, Bóg wie jakich.

— To jest sala margrafów — mówił — to sala portretowa, to kaplica, w której nabożeństwo nie odprawia się od czasu, jak Ludwik Łysy został protestantem. To zbrojownia.

Wszystko to bardzo umiarkowanie mnie zajmowało. Nareszcie, dzięki niebu, zatrzymaliśmy się przed małymi drzwiczkami. Sperwer wyjął z kieszeni ogromny klucz i, oddając mi pochodnię:

— Uważaj na światło — rzekł. — Ostrożnie!

Jednocześnie otworzył drzwi i zimne powietrze z zewnątrz wpadło na korytarz. Płomień pochodni zaczął się kręcić, pryskając iskrami na wszystkie strony. Sądziłem, że jesteśmy nad brzegiem przepaści, i cofnąłem się przerażony.

— A! a! — zawołał Gedeon, otwierając usta od ucha do ucha. — Powiedziałby kto, Franku, że się boisz. No, no, śmiało, naprzód! Jesteśmy na wale, wiodącym z zamku do starej wieży.

I pocziwiec wyszedł pierwszy, aby mi dodać odwagi.

Przejdzie to, opatrzone kamienną balustradą, było całkiem pokryte śniegiem; wiatr upędzał się po nim z przeraźliwym świstem. Gdyby kto był tak z płaszczyzny zobaczył naszą migocącą pochodnię, pomyślałby pewno:

— Co oni tam robią, w chmurach? Po co się włóczą o tej późnej godzinie?

— Stara czarownica patrzy może na nas — rzekłem sobie w duchu i myśl ta przejęła mnie dreszczem. Zacząłem biec szybko za Sperwerem, który podnosił pochodnię, aby mi drogę oświecić. Wkrótce znaleźliśmy się na wieży, a wnet potem w tak zwanym pokoju Hugona. Suty ogień powitał nas wesółym trzaskiem. Co za szczęście, znaleźć się znów pod osłoną grubych murów!

Przystanąłem, podczas gdy Sperwer zamykał drzwi, i, rozglądając się po pokoju, zawołałem z radością:

— Bogu dzięki! Odpoczniemy przecie.

— Przy dobrym stole — dodał Gedeon. — Spójrzno tu, zamiast się gapić na sufit: pieczeń sarnia, dwie pulardy, szczupak z pietruszką. Zimne mięsiwa i gorące wina. Tak to lubię. Jestem zadowolony z Kaspra. Do brze mnie zrozumiał.

Gedeon miał słuszość. Mięsa były zimne, a przed kominkiem wspaniały szereg butelek doświadczał rozkosznego wpływu płomienia.

Widok ten obudził we mnie prawdziwie wilczy apetyt, ale Sperwer, który lubił wygodki, rzekł mi:

— Nie śpieszmy się, Franku. Mamy czas. Pulardy nie uciekną. Zdejm naprzód buty; gdy się ośm godzin z rzędu było na koniu, dobrze jest zmienić obuwie. Tak!... a teraz włóż nogi w pantofle, zrzuć ryngraf i otul się w tę oto oponicze.

Zrobił to samo, poczem głosem stentorowym wykrzyknął:

— A teraz, Franku, do stołu! Pracuj ze swojej stromy, ja z mojej, a zwłaszcza pomnij na to stare niemieckie przysłowie: „Jeżeli dyabeł wymyślił pragnienie, to Pan Bóg stworzył wino“.

III.

Jedliśmy z zapalem, jaki wzbudza całodzienna podróż wśród śniegów szwarcwaldzkich.

Sperwer brał się po kolei do sarny, do pulard, do szczupaka, mówiąc z pełnemi ustami:

— Mamy lasy! mamy karczowiska! mamy stawy!

Poczem przechylał się w tył i, chwytając na chybił trafił butelkę, dodawał:

— Mamy także wzgórze, zielone wiosną, purpurowe jesienią! Franku! zdrowie twoje!

— I twoje, Gedeonie!

Jakiś czas słyhać było tylko trzask ognia, dzwonienie widelców o talerze i butelek o szklanki i chrupanie naszych szczęk zgłodniałych. A na dworze wiatr śpiewał swój hymn żalobny, hymn dziwny, zimowy, który daje się słyszeć zawsze, gdy chmury gromadzą się jedne na drugie, a błądy księżyc patrzy na ich odwieczną walkę.

Apetyt nasz uśmierzył się przecież. Sperwer napełnił kielich starem winem brumberskiem i, podając mi go, zawołał:

— Za wyzdrowienie hrabiego Jeri-Hansa Nidecka! Wypij, Franku, do ostatniej kropli, żeby nas Bóg wysłuchał.

Zastosowałem się ściśle do tego zlecenia.

Sperwer napełnił znowu kielich i, powtórzywszy donośnym głosem:

— Za wyzdrowienie potężnego władcy na Nidecku, Jeri-Hansa, a mego pana! — wychylił go duszkiem.

Wtedy głębokie zadowolenie przejęło nas obu i byliśmy szczęśliwi, że żyjemy.

Ja wyciągnąłem się w fotelu i, oparłszy głowę o poręcz, zacząłem robić przegląd mojej rezydencji.

Była to komnata niska, sklepiona, wykuta w skałę; w głębi spostrzegłem rodzaj framugi, gdzie stało łóżko, pokryte niedźwiedzią skórą, a w głębi tej niszy była druga, mniejsza, ozdobiona statuetką Najświętszej Panny, wyrzeźbiana z tegoż samego granitu z koroną zwiedłych kwiatów na głowie.

— Przypatrujesz się twojej sypialni—rzekł Gedeon.— No, nie można powiedzieć, żeby była wspaniała. Daleko jej do zamkowych pokoi. Jesteśmy tu w wieży Hugona; a trzeba ci wiedzieć, mój kochany, że ta wieża istniała już za czasów Karola Wielkiego. Stare to, jak świat. W owych czasach ludzie nie umieli jeszcze budować sklepień wysokich, śpiczastych, lub wypukłych.

— Takżeś mnie w dziwną dziurę wpakował, Gedeonie!

— Ba! ba! to właśnie sala honorowa. Przyjaciele hrabiego tu zamieszkują, gdy go odwiedzić przyjadą. Wieża Hugona to najlepsza rzecz w całym zamku.

— Kogo? Hugona?

— A no tak. Hugona Wilka.

— Jakto, Hugona Wilka?

— Nie inaczej, głowy rodu Nidecków. Ho! ho! dzielna to była sztuka! Przyszedł tu z bandą dwudziestu rajtarów; wdrapali się na tę skałę, najwyższą z całej góry. Zobacysz to jutro. Zbudowali tę wieżę i powiedzieli sobie: „Myśmy tu panami. Biada tym, którzyby tędy bez okupu przejść chcieli! Spadniemy na nich, jak wilki, obedrzymy ich ze skóry, a jeżeli nam się i kości ich spodobają — tam lepiej. Stąd, jak na dłoni, zobaczymy wąwozy Rheethalu, Steinbachu, całego Szwarzwaldu. Niech się więc kupcy strzegą!“ I jak rzekli, tak robili. Hugo Wilk był ich dowódcą. Knapwurst mi to opowiadał pewnego wieczora.

— Knapwurst?

— Ten garbusek — wiesz — który nam brame otworzył. Zabawny głupiec! Ciągłe tylko siedzi w bibliotece.

— A! więc macie uczonego w Nidecku?

— A tak! Zamiast pilnować bramy, cały Boży dzień grzebie się w starych pergaminach, jak szczur. Dzieje rodziny Nidecków zna na palcach — lepiej, niż oni sami. Opowie ci to wszystko, jeżeli chcesz. A papierzyska te nazywa kronikami. Ha! ha! ha!

I Sperwer, rozwesolony dobrem winem, zaczął się śmiać, nie wiedząc sam dobrze z czego.

— Tak więc, Gedeonie — ponowiłem — ta wieża nazywa się wieżą Hugona... Hugona Wilka?

— Powiedziałem ci już. Cóż u dyabła! Czy cię to dziwi?

— Nie.

— Jakto nie. Kiedy to widzę po twojej twarzy. Czemu się tak zamyśliłeś?

— Mój Boże... nazwa tej wieży nie dziwi mnie, ale dziwię się i zastanawiam, jakim sposobem ty, wolny strzelec, który od dzieciństwa patrzyłeś tylko na śnieżne szczyty Wald-Hornu, ty, który w młodości drwiłeś sobie ze strażników hrabiego Nidecka, przebiegając ścieżki Szwarzwaldu, żyjąc swobodnym życiem leśnym, teraz jesteś tu, w tym granitowym lochu. Rozpowiedz-że mi, jakim sposobem doszło do tego?

Gedeon dobył fajki, nałożył ją powoli, zapalił węgielkiem i, patrząc w zadumaniu przed siebie, odpowiedział:

— Stare sępy, stare krogulce kończą zawsze na tem, że sobie gniazdo w rozpadlinie skały uścielają. Tak, to prawda, lubiłem swobodę, wolne powietrze. Lubie je i teraz, ale, zamiast wdrapywać się wieczorem na drzewo i noc wśród gałęzi przepędzić, wolę wrócić sobie pod dach spokojnie, lyknać dobrego wina i ogrzać się przy ogniu. Hrabia Nideck nie gardzi Sperwerem, starym sępem, prawdziwym synem lasów. Raz spotkał mnie przy blasku księżyca i rzekł mi: „Przyjacielu, polujesz sam, pójdz polować ze mną. Masz dobre oczy, dobre uszy. Poluj więc, skoro to twoja natura, ale poluj za mojem pozwoleniem, bo ja jestem orłem tej góry, nazywam się Nideck“.

Sperwer umilkł, ale po krótkiej przerwie mówił dalej:

— Przypadło mi to do gustu. Poluję zawsze, jak da-

wniej, i wysuszam sobie spokojnie buteleczkę rudesheimu przy pogawędce, albo...

W tej chwili uderzenie jakiegoś wstrząsnęło drzwiami. Sperwer przerwał sobie i nadstawił ucha.

— To wiatr — rzekłem.

— Nie, to co innego. Czy nie słyszysz drapania? To pies! Otwórz, Lieverlé! otwórz, Blitz! — zawołał, powstając, ale zaledwie zrobił parę kroków, olbrzymi duńczyk wpadł do wieży i, położywszy mu łapy na ramionach, lizał mu swym wielkim różowym językiem brodę i policzki, poszczekując radośnie.

Sperwer zarzucił mu rękę na szyję i, zwracając się ku mnie:

— Franku — rzekł — jakież człowiek mógłby mnie tak kochać? Spójrz, co to za głowa, co za oczy, co za zęby.

I odsłaniał psu wargi, pokazując mi kły, któreby bawoła rozedrzeć zdołały.

— Puść mnie, Lieverlé — rzekł po chwili, odpychając z trudnością psa, który podwajał pieśczoły.—Wiem, że mnie kochasz. Do licha, któżby mnie kochał, gdyby nie ty?

I Gedeon poszedł zamknąć drzwi.

Nie widziałem nigdy tak strasznego zwierzęcia, jak ten Lieverlé. Był to olbrzymi pies, mogący mieć dwie i pół stopy wysokości. Łeb miał szeroki, płaski, skórę cienką, zasnutą siatką nerwów i mięśni, oko żywe, łapy długie, jednego mu tylko brakowało: wężu. Dać takiemu psu nos jamnika, a to i po zwierzynie!

Sperwer usiadł napowrót i, położywszy z dumą rękę

kę na głowie Lieverlé, wyliczał mi poważnie jego zalety.

Pies zdawał się go pojmować.

— Widzisz, Franku, ten pies udusi ci wilka od jednego razu. Pod względem odwagi i siły jest to po prostu doskonałość. Nie ma jeszcze pięciu lat. Nie potrzebuję ci mówić, że jest ułożony do polowania na dziki. Ilekroć spotykamy te bestye, drzę o niego, bo rzuca się zbyt śmiało, pędzi prosto, jak strzała. To też ma już skutki tego. Połóż się, Lieverlé! — zawołał — połóż się na grzbiecie.

Pies usłuchał.

— Widzisz, Franku, tę kresę białą bez sierści, od uda aż do piersi: to dzik go tak uczęstował. Biedne zwierzę! a jednak nie popuścił zdobyczy. Gdym go tak rozkrwawionego zobaczył, myślałem, że się nie wiem co ze mną stanie. Porwałem go na konia, zawinąłem w płaszcz i popędziłem do domu, jak szalony. Na szczęście kiszki nie były naruszone. Zeszyłem mu brzuch. Wył, jak wszyscy dyabli! cierpiał!... ale po trzech dniach zaczął się lizać: a kiedy się pies liże, już się o niego obawiać nie trzeba. He, Lieverlé, pamiętasz ty to? To też kochamy się obaj, jak dwaj rodzeni, nieprawdaż?

Byłem istotnie rozrzewniony przywiązaniem człowieka do tego psa i psa do tego człowieka; patrzyli na siebie wzajem, jakby się rozumieli. Lieverlé machał ogonem, Sperwer miał lzy w oczach.

Po chwili mówił dalej:

— Co to za siła! Widzisz, Franku, urwał się z powroza, aby do mnie przybiedz, odnalazł moje ślady. Tu, Lieverlé! paf!

I rzucił mu resztę udźca sarniego. Szczęki psa, chwytając go, wydały chrzęst okropny, a Sperwer, patrząc na mnie z dziwnym uśmiechem, rzekł:

— He, Franku, nie ruszyłbyś się z miejsca, gdyby cię tak za łydki przytrzymał.

— Zapewne tak, jak każdy inny.

Pies rozciągnął się przed kominkiem, trzymając mięso w przednich łapach, i zaczął je drzeć na kawały. Sperwer poglądał nań z zadowoleniem. Kość kruszyła się, jak słomka, w zębach Lieverlé.

— No — rzekł stary myśliwiec — co byś powiedział, gdyby ci polecono odebrać mu tę kość?

— Wyznaję, że byłaby to bardzo drażliwa misya.

I obaj rozśmieliśmy się serdecznie. Sperwer puścił kilka kłębow dymu, ja zaś patrzyłem na psa, gdy nagle przypomniała mi się nasza przerwana rozmowa.

— Słuchał-no, Gedeonie — rzekłem — nie powiedziałeś mi wszystkiego. Jeżeli porzuciłeś góry dla zamku, to z powodu śmierci Gertrudy, twojej poczciwej żony, nieprawdaż?

Sperwer zmarszczył brwi, lza zaćmiła mu spojrzenie, wyprostował się i, otrząsając popiół z fajki, odpowiedział:

— A no tak! żona mi umarła... i to mnie wypędziło z lasów. Nie mogłem znieść widoku doliny Skalistej, a i teraz, ilekroć na polowaniu psy kierują się w tę stronę, rzucaam wszystko do dyabła, uciekam i staram się myśleć o czem innym.

Sperwer sposepniał. Pochylił głowę, patrząc chmurnie na kamienne płyty posadzki; wyrzucałem sobie, zem w nim te smutne wspomnienia rozbudził. Wtem przysła

mi na myśl Czarna-Zaraza, w śniegu siedząca, i dreszcz przejął mnie od stóp do głowy.

Dziwna rzecz! jedno słowo pograżyło nas w melancholijnej, pełnej wspomnień, zadumie.

Nie wiem, jak długo ona trwała, gdy nagle przerwało ją głuche warknięcie, podobne do odległego grzmotu.

Spojrzelśmy na psa. Trzymał wciąż napół ogryzioną kość w przednich łapach, ale podniósł głowę, nadstawił uszy i z błyszczącym okiem słuchał... słuchał w głębokiej ciszy, a gniewny dreszcz przebiegał mu członki.

Nagle wstał i rzucił się na ścianę, zaszczekawszy w sposób tak przerażający, że aż sklepienie zadrżało, jakby piorun w nie uderzył. Lieverlé z pochyloną głową zdawał się wiercić wzrokiem granitową ścianę, z poza jego warg podniesionych połyskiwały dwa rzędy zębów białych, jak śnieg. Warczał ciągle, chwilami przykladał pysk do muru, sapiąc silnie, poczem podnosił się z gniewem i pazurami usiłował rozedrzeć granit.

Patrzyliśmy na niego, nie pojmując, coby to znaczyło.

Lieverlé szczechnął znowu tym razem z taką wściekłością, żeśmy aż podskoczyli na krzesłach.

— Lieverlé! — zawołał Sperwer, rzucając się ku niemu. — Co tobie, u diabła? Czyś się wściekł?

Chwycił polano i zaczął opukiwać mur pełny i głęboki na całą grubość skały. Żadnej próżni w nim nie było, a mimo to pies nie przestawał warczeć.

— Śni ci się coś, mój Lieverlé — rzekł dojeżdżacz. — Leżeć! Nie rozdieraj mi już uszu moim szczeckaniem.

W tej chwili stuk jakiś doleciał nas z zewnątrz. Drzwi się otwały i stanął w nich Tobiasz Offenloch z la-



— Lieverlé! — zawołał Sperwer.

tarnią w jednej ręce, z laską w drugiej i z dobrodusznym uśmiechem na swej okrągłej, jak księżyc w pełni, twarzy.

— Witam szanowne towarzystwo — rzekł. — Cóż się tu dzieje?

— To ten osiel Lieverlé — odparł Sperwer — narobił takiego hałasu. Wystawcie sobie, panie Tobiaszu, że się rzucił na ścianę, jak opętany. Ciekawy jestem, za jakie trzy grosze.

— Zapewne usłyszał stukanie mojej drewnianej nogi po schodach wieży — zauważył, śmiejąc się, marszałek.

Poczem, stawiając latarnię na stole, dodał:

— To was nauczy, panie Gedeonie, żebyście wasze psy przywiązywali. Już to psujecie wasze psy, psujecie — no! Te przekłete bestye powypędzają nas z zamku. Właśnie przed chwilą spotkałem waszego Blitzę w galerii; szelma skoczył mi do nogi, patrzcie: jeszcze ślady jego zębów zostały! Noga nowiuteńka! Bodaj go diabli porwali!

— Przywiązywać psy! także koncept! — odparł Gedeon. — Psy na uwięzi stają się dzikimi. A zresztą, czy to Lieverlé nie był przywiązany? Biedne psisko ma jeszcze powróż na szyi.

— No! mnie tam wszystko jedno. Ja, gdy tylko wasze psy się zbliżają, podnoszę zaraz laskę i drewnianą nogę naprzód wystawiam. Ale tu chodzi o porządek: psy powinny być w psiarniach, koty na strychach, a ludzie w izbach.

Tobiasz usiadł, domawiając tych słów, i, oparłszy łokcie na stole, rzekł tonem poufnym z oczyma błyszczącymi niewymownem szczęściem:

— Trzeba wam wiedzieć, panowie, że jestem dziś słomianym wdowcem.

— Doprawdy?

— A tak! Marya-Anna, czuwa z Gertrudą w przedpokoju naszego pana.

— Więc wam nie śpieszno nigdzie?

— Nie, zupełnie nie!

— Jaka to szkoda, panie Tobiaszu, żeście tak późno przyszli — rzekł Sperwer — wszystkie butelki już próżne.

Twarz pana Tobiasza sposepniała tak bardzo, że aż mi się go żal zrobiło. Biedak! chciał tak skorzystać ze swego wdowieństwa. W tej chwili jednak, pomimo najlepszych chęci, nie mogłem się powstrzymać od przeraźliwego ziewnięcia.

— No! to będzie na drugi raz — rzekł Tobiasz Offenloch, wstając i biorąc latarnię. — Dobranoc, panowie.

— Czekajcie-no — zawołał Gedeon — widzę, że Frankowi chce się spać. — Pójdziemy razem.

— I owszem. Wstąpimy po drodze do Trumpha; wszyscy tam są i Knapwurst opowiada im różne historye.

— Otóż to. Dobranoc, Franku!

— Dobranoc! A pamiętaj mnie obudzić, gdyby hrabiemu było gorzej.

— No, no, bądź spokojny. Lieverlé!... pójdź tu!

Wyszli i w tej-że chwili zegar wydzwonił jedenastą.

Padąłem ze znużenia.

IV.

Ledwo co dzień zajrzał w jedyne okno wieży, gdy oddalone dźwięki rogu obudziły mnie w mojej granitowej niszy. Nic smutniejszego, nic bardziej melancholijnego nad wibracye tego instrumentu, zwłaszcza o zmroku, gdy wszystko milczy, gdy żaden szelest nie przerywa głębokiej ciszy samotności; ostatnia nuta szczególnie, ta nuta przeciągła, płynąca w przestrzeń i budząca gdzieś daleko, daleko, echa gór sennych... ta nuta ma w sobie dziwnie poetyczny urok.

Wsparty łokciem na skórze niedźwiedziej, słuchałem żalostnej muzyki rogu, wywołującej wspomnienia czasów feudalnych. Widok mego pokoju, tej niskiej ciemnej nory wilka Nidecku, wpływał również na poważny nastrój moich myśli.

Zerwałem się i pobiegłem otworzyć okno na rozcież.

Tam czekał mnie jeden z tych widoków, których żadne słowo ludzkie nie opisze — widok, na jaki płowy alpejski orzeł patrzy co rano, gdy się podnosi purpurowa

zasłona horyzontu. Góry! góry!... wszędzie góry... niby fa-
le nieruchome, ginące w oddali niewyraźną masą; po-
śród nich lasy olbrzymie, jeziora połyskujące lodową po-
włoką i strumienie kręte, kreślące swe zygzaki na nie-
bieskawem tle dolin. A poza tem wszystkim nieskoń-
czoność!

Stałem tak zapatrzony przeszło kwadrans, gdy cięż-
ka dłoń położyła się na mojem ramieniu i dobrze znany
głos przemówił:

— Dzień dobry, Franku!

Odwróciłem się. Gedeon patrzył na mnie ze spokojnym
uśmiechem, poczem oparł się także na oknie i, paląc
fajeczkę, ukazywał mi ręką wspaniałą panoramę na-
tury.

— Patrzaj, Franku, patrzaj! Ty musisz to lubić,
ty, syn Szwarewaldu. Spójrz tam... tam w dal! To dolina
skalista. Widzisz ją? Przypominasz sobie Gertrudę? Hej!
hej! mocny Boże! jak to wszystko teraz daleko!

Otarł łzę i umilkł, a i mnie słowa w gardle uwięzły.

Staliśmy długo zadumani. Kilka razy Gedeon wska-
zywał mi ręką jakiś punkt na widnokręgu, mówiąc:

— Widzisz, to Wald-Horn, a to Tiefentahl. Tam
znów to wodospad Steinbachu; zatrzymał się i wisi lo-
dowemi frendzlami na ramieniu Harbergu. Nie bardzo cie-
pły płaszcz na zimę! Ta dróżka, co ją widzisz, prowadzi
do Fryburga. Za dwa tygodnie nie będzie już jej można
odnaleźć.

W ten sposób upłynęła nam godzina. Nie mogłem
się oderwać od tego widoku. Kilka ptaków drapieżnych
krążyło dokola wieży z rozpostartemi, jak wachlarze,
skrzydłami; czaple unosiły się w górze, niby czarne plam-



Sebalt wygrywa najulubieńsze arye hrabiego.

ki na niebie bezchmurnem, bo wszystek śnieg spadł z niego w nocy na ziemię. Muzyka rogu dawała się jeszcze słyszeć.

— To mój przyjaciel Sebalt tam kwili — rzekł Sperwer — zna się dobrze na psach i na koniach, a równego mu trębacza niema w całych Niemczech. Posłuchajcie, Franku, jakie to piękne. Biedny Sebalt! choroba naszego pana i jemu na zdrowie nie idzie, nie może już polować, jak dawniej. To jego jedyna pociecha. Co rano o brzasku dnia wchodzi na Altenberg i wygrywa najulubieńsze arye hrabiego. Myśli, że go to uleczy.

Sperwer, z tym taktem człowieka, który umie odczuwać piękno, nie przerywał mi zadumy, ale, gdy, olśniony blaskiem rozwielenionego już na niebie słońca, spojrzałem w ciemne wnętrze wieży, rzekł:

— Wszystko dobrze, Franku. Hrabia nie miał ataku.

— A! tem lepiej... tem lepiej!

— Tobie to zawdzięcza.

— Jakto, mnie? Nic mu nie przepisałem.

— Ba! ale tu jesteś!

— Żartujesz, Gedeonie. Cóż moja obecność znaczyć tu może, skoro choremu żadnego lekarstwa dotąd nie dałem?

— To znaczy, że mu przynosisz szczęście.

Spojrzałem mu prosto w oczy; nie śmiał się wcale.

— Tak, tak — ponowił z powagą — przynosisz mu szczęście, Franku. Innych lat nasz pan miał drugi atak nazajutrz po pierwszym; potem trzeci, czwarty. Tyś temu przeszkodził, powstrzymałeś złe. To jasne.

— Nie zupełnie, Sperwerze; mnie, przeciwnie, wydaje się to bardzo ciemnem.

— Widzisz, Franku, człowiek do śmierci się uczy — mówił dalej Gedeon. — Dowiedz się więc, że są na świecie ludzie tacy, którzy przynoszą nieszczęście. Naprzykład Knapwurst. Ten kanalia mnie przynosi nieszczęście. Ile razy go spotkam, jadąc na polowanie, zawsze mi się coś stanie; to proch mi spali na panewce, to nogę wywichnę, to mi psa dziki rozszarpia — albo ja wiem? To też, wiedząc to, staram się zawsze wyjechać do dnia, nim ten kotr, który śpi jak suseł, oczy otworzy, albo wymykam się tylnymi drzwiami — rozumiesz?

— Rozumiem doskonale, lecz pojęcia twoje wydają mi się dziwne.

— Ty, Franku — mówił dalej Gedeon, nie zwracając uwagi na moje słowa — ty jesteś dzielny, zacnym chłopcem. Niebo złało na twoją głowę niezliczone błogosławieństwa. Dość spojrzeć na twoją poczciwą twarz, na twoje oczy, twój uśmiech łagodny, aby się rozweselić. Tak, tak, przynosisz szczęście ludziom — to rzecz pewna. Zawsze to mówiłem... a dowodem tego... chcesz wiedzieć dowód?

— Ma się rozumieć! Przyjemnieby mi było przekonać się, że posiadam istotnie wszystkie te cnoty, jakie mi przypisujesz.

— A więc patrz! — zawołał, chwytając mnie za rękę. — Patrz tam! — Wskazał mi wzgórek w odległości dwóch strzałów karabinowych od zamku. — Widzisz tę skałę pokrytą śniegiem i te krzaki na lewo?

— Doskonale.

— Obejrzyj się dokoła. Widzisz co?

— Nie.

— A no, to jasne, przepędziłeś Czarną-Zarazę. Ka-

żdego roku, podczas drugiego ataku, widzieć ją było można tam siedzącą w śniegu. Wieczorem zapalała sobie ogień, grzała się i gotowała sobie korzonki. Dzisiaj, ledwo oczy otwarłem, zaraz się wdrapałem na wieżę sygnałową. Patrzę: ani śladu starej dyablicy. Rozglądam się jak mogę na prawo, na lewo, patrzę w górę, w dół, nie! jakby wymiótł! Poczula cię... to niema gadania!

I poczciwiec, całując mnie z uniesieniem, zawrócił wzruszony:

— A Franku! Franku, co za szczęście, że cię tu przywiozłem. To dopiero stara musi pękać ze złości. Ha! ha! ha!

Wyznaje, że byłem nieco zawstydzony dotychczasową swoją nieświadomością na punkcie własnych zasług.

— Tak tedy, Sperwerze — ponowiłem — hrabia dobrze noc przepędził?

— Bardzo dobrze.

— Wszystko więc jak najlepiej. Zejdźmy na dół.

Minęliśmy znowu wał, łączący wieżę z zamkiem, i teraz mogłem przypatrzeć się lepiej temu przejściu. Był szaniec tak wysoki, że, spojrzawszy w dół, dostałem prawie zawrotu głowy, i cofnąłem się prędko ku środkowi.

Przeszliśmy już kilka korytarzy, gdy wielkie otwarte drzwi ukazały się przed nami; spojrzałem w głąb i zobaczyłem na wierzchu podwójnej drabinki karła Knapwurst, którego powierzchowność zastanowiła mnie wczoraj.

Sama sala również ściągnęła moją uwagę. Była to komnata wysoka, ciemna, zapyłona, o wielkich oknach, zaczynających się od wierzchołka sklepienia i zbiega-

jących łukowato ku podłodze. Mnóstwo pólek zarzuconych księgami i papierami wskazywało nazwę tej sali. Było to archiwum zamkowe. Znajdowały się tam nie tylko wszystkie dokumenty, tytuły, drzewa rodzinne Nidecków, stwierdzające ich prawa, stosunki i związki z najznakomitszymi domami w Niemczech, ale również wszystkie kroniki Szwarzwaldu, zbiory dawnych minnesingerów i wielkie woluminy in folio, wyszłe z pod prasy Gutenberga i Fausta, a szacowne zarówno ze względu na ich pochodzenie, jak na pomnikową trwałość okładzin. Wielkie cienie sklepienia, powlekające ściany swoją szarą barwą, nadawały tej komnacie pozór średniowiecznych klasztorów, a ów karzeł, siedzący na wierzchu drabiny z olbrzymią księgą na wątlých pokrzywionych kolanach, z głową okrytą futrzaną czapką, z pod której błyszczwały siwe, bystre oczki, ze splaszczonym nosem i wypukłymi plecyma, robił istotnie wrażenie famułusa szczura, jak go nazywał Sperwer, w tym przybytku wiedzy w Nidecku.

Ale co nadawało sali archiwalnej doniosłość prawdziwie historyczną, to były portrety familijne, zajmujące całą jedną ścianę. Byli tam wszyscy Nideckowie, mężczyźni i kobiety, począwszy od Hugona Wilka, aż do Jeri-Hansa, obecnego posiadacza zamku, począwszy od niekształtnych bohomazów z czasów barbarzyńskich, aż do arecydzieł najznakomitszych mistrzów naszej epoki.

Spojrzenia moje skierowały się naturalnie w tę stronę.

Hugo pierwszy, o łysej głowie, zdawał się patrzeć na mnie, jak patrzy wilk na skraju lasu. Szare, za-

biegłe krwią oko, broda ruda, szerokie włochate uszy nadawały mu pozór przerażającej dzikości. Tuż obok, jak gołąbka przy orle, widniała postać młodej kobiety o wyniosłem czole i łagodnem wejrzeniu. W rękach, skrzyżowanych na piersiach, trzymała książkę do nabożeństwa; włosy jej bujne i jasne, rozdzielone na środku głowy, opadały po obu stronach twarzy, w jedwabistych splotach, tworząc dokoła tej ślicznej twarzyczki niby złotą aureolę. Głównie jednak uderzyło mnie podobieństwo jej z Odilą Nideckówną.

Nie można sobie wyobrazić nic bardziej uroczego nad to stare malowidło na drzewie, trochę sztywne, ale zachwycające naiwnością swą i prostotą.

Patrzyłem na nie czas jakiś, gdy drugi obok wiszący portret kobiety ściągnął moją uwagę. Był to znów typ wizygocki w całej swej pierwotności. Czoło szerokie i niskie, oczy żółte, policzki wystające, nos orli.

— Tak, ta kobieta musiała być odpowiednią towarzyszką dla Hugona — pomyślałem sobie.

Rzuciłem okiem na ubiór; był on w harmonii z energicznym charakterem głowy. Ręka prawa opierała się na mieczu, żelazny gorset obcisłał kibić.

Trudno mi określić myśli, jakimi mnie widok tych trzech portretów napelnił. Przenosiłem wzrok z jednego na drugi ze szczególną ciekawością. Nie mogłem się od nich oderwać.

Sperwer, zatrzymawszy się na progu biblioteki, gwiźdnął przeciągle.

Knapwurst spoglądał na niego z wysokości drabiny, nie ruszając się.

— Czy to na mnie tak gwiżdżesz, jak na psa? — zapytał.

— A tak, przeklęty szczurze. Chcę cię tak uhonorować.

— Niechaj! — rzekł Knapwurst głosem najwyższej pogardy — choćbyś chciał nie wiem jak, nie możesz nawet pluć na wysokość mego trzewika. Drwię sobie z ciebie.

I pokazywał mu podeszwę.

— A jeżeli wejdę na drabinę?

— Palnę cię w łeb tą księgą.

Gedeon zaczął się śmiać, mówiąc:

— No, no, nie gniewaj się, garbusku, nie gniewaj. Złe ci nie życze, owszem, szanuję twoją wiedzę; ale co u diabła robisz tam tak wcześnie przy lampie? Powiedziałby kto, żeś noc na drabinie przepędził.

— Rzeczywiście, spędziłem ją tu na czytaniu.

— Alboż dnie na to nie dosyć długie?

— Nie, zaprzęta mnie teraz jedna bardzo ważna kwestya, i dopóty nie zasnę, dopóki jej nie rozwiążę.

— Tam do licha! Cóż to takiego?

— Chcę się dowiedzieć, jakim sposobem Ludwik Nideck znalazł mego przodka Ottona Karła w lasach turyńskich. Trzeba ci wiedzieć, Sperwerze, że mój pradziad miał zaledwie półtory stopy wysokości, zachwycał wszystkich swoim rozumem i bardzo zaszczytny brał udział w uroczystościach koronacji cesarza Rudolfa. Hrabia Rudolf kazał go włożyć w pawia, którego podano na stół z piórami; było to jedno z najwykwintniejszych dań owych czasów; ozdabiano je posrebrzanymi i złotymi prosiaczkami. Podczas uczy Otton rozwijał ciągle ogon pawia i wszyscy zgromadzeni przy stole

panowie i damy nie mogli wyjść z podziwienia nad cudownością tego mechanizmu. Aż tu Otton wychodzi z pawia z szablą w rękę i woła donośnym głosem: „Niech żyje Cesarz Rudolf Habsburgski!“ Bernard Hertzog opisuje to wszystko, ale nie dodaje, skąd pochodził karzeł, czy był z wysokiego rodu, czy z ludu... choć to ostatnie wydaje mi się nieprawdopodobnem. Ludzie prości nie mają takiego rozumu.

Zdumiewała mnie duma tego liliputa, ale ciekawość kazała mi go oszczędzać: on jeden mógł mi dostarczyć jakichś objaśnień co do obu kobiecych portretów.

— Panie Knapwurst — rzekłem tonem pełnym szacunku — czy zechcesz pan rozjaśnić mi pewną wątpliwość?

Te słowa pochlebily mu widocznie; odezwał się z pospiechem:

— Mów pan, mów. Jeżeli chodzi o kroniki, jestem gotów zaspokoić ciekawość pana. O resztę się nie troszczę.

— Właśnie chciałbym się dowiedzieć, jakie mianowicie osoby przedstawiają te oto portrety.

— A! a! — rzekł Knapwurst, którego rysy ożywiły się bardzo — mówisz pan o Jadwidze i Huldinie, dwóch żonach Hugona. — I, odłożywszy księgę, zszedł z drabiny, aby swobodniej ze mną rozmawiać. Oczy mu błyszczały; widoczne było, jaką mu to przyjemność sprawiało, że się mógł przede mną ze swoją wiedzą popisać. Stając się na ziemi, uklonił mi się poważnie. Sperwer stał za mną zachwycony mojem zajęciem się osobą karła nideckiego, bo choć wierzył w jego złe wpływy na swoje myśliwskie losy, pysznił się mimo to jego rozległymi wiadomościami.

— Panie — zaczął Knapwurst, wyciągając długą, żółtą rękę ku portretowi — Hugo Nideck, pierwszy ze swego rodu poślubił w roku 832 Jadwigę Lutzelburg, która wniosła mu w posagu hrabstwa Giromanii, Hoch-Barru, zamki Geroldseck, Teufels-Horn i inne. Hugo Wilk nie miał dzieci z tej pierwszej żony, która umarła młoda, roku pańskiego 837. Wtedy Hugo nie chciał oddać posagu jej rodzinie. Nastąpiły krwawe zatargi pomiędzy nim a szwagrami. Ale ta druga, którą pan widzisz, w żelaznym gorsecie, Huldina, dopomogła mu swoją radą. Była to kobieta wielkiej odwagi. Niewiadomo skąd się ona wzięła i jakie było jej pochodzenie, ale ona to uratowała Hugona, którego więził Frantz Lutzelburg. Tego dnia właśnie miano go wieszać, przygotowano już szubienicę, gdy Huldina na czele wojska hrabiego, które odwagą swą pociągnęła za sobą, wdarła się do twierdzy, oswobodziła Hugona, a Frantza na jego miejsce powiesić kazała. Hugo poślubił ją w roku 842 i miał z niej troje dzieci.

— Tak więc — rzekłem zadumany — pierwsza z tych kobiet nazywała się Jadwiga, potomkowie rodu Nidecków nie mają z nią nic wspólnego.

— Nic.

— Czy pan jesteś tego pewien?

— Mogę panu pokazać drzewo genealogiczne. Jadwiga nie miała dzieci. Huldina, druga żona, miała troje.

— To dziwne.

— Dlaczego?

— Zauważyłem pewne podobieństwo...

— Ot! podobieństwa! podobieństwa! — zawołał Knapwurst z wybuchem niemiłego śmiechu. — Spójrz pan na tę

drewnianą tabakierkę; jest na niej portret mego pradziadka, Hans-Wursta. On ma nos jak do gaszenia świec i podbródek okrągły, ja mam nos płaski, a podbródek śpiczasty... i czy to przeszkadza, żebym był jego wnukiem?

— Zapewne, że nie.

— A widzisz pan; tak samo z Nideckami. Mogą mieć sobie rysy Jadwigi, nie przeczę, ale mimo to Huldina jest ich rodzicielką. Zobacz pan drzewo genealogiczne, proszę, zobacz pan!

Rozstaliśmy się z Knapwurstem w najlepszej przyjaźni.

V.

— Wszystko mi jedno — mówiłem do siebie — podobieństwo istnieje. Czy przypisać je trafowi? Traf... i cóż to jest traf? Niedorzeczność... to, czego człowiek wytłómaczyć nie może. Musi być w tem coś innego.

Myśląc tak, siedziałem za Sperwerem, który prowadził mnie znów przez korytarze. Portret Jadwigi, ta postać, tak pełna prostoty i naiwności, zlewała się w mojej wyobraźni z postawą hrabianki Odili.

Nagle Gedeon zatrzymał się; podniosłem oczy; staliśmy u drzwi pokojów hrabiego.

— Wejdz, Franku — rzekł — ja pójdę psy zakarmić; gdy pana niema, służba się zaniecłhuje. Niedługo wrócę po ciebie.

Wszedłem bardziej zajęty panną Odilą, niż hrabią; wyrzucałem to sobie, ale są rzeczy niezależne od naszej woli. Jakież było moje zdziwienie, gdy w półświetle alkowy ujrzałem pana na Nidecku, który, oparty na łokciu, przypatrywał mi się uważnie. Byłem tak nieprzygotowany na to spojrzenie, że mnie ono zmieszało.

— Zbliż się pan, panie doktorze — rzekł głosem sła-

bym, ale stanowczym, podając mi rękę.—Mój poczciwy Sperwer często mi o panu wspominał. Pragnąłem pana poznać!

— Mam nadzieję, panie hrabio, że ta znajomość zakończy się szczęśliwiej, niż się zaczęła — odpowiedziałem.— Trochę cierpliwości, a przezwyciężymy chorobę.

— To niepodobna. Czuję, że się już zbliża ostatnia moja godzina.

— Pan hrabia się myli.

— Nie, natura jako ostatnią łaskę udziela nam przeczucie śmierci.

— Ież ja takich przeczuć zawiedzionych widziałem— rzekłem z uśmiechem.

Hrabia spoglądał na mnie z nateżeniem, jak wogóle chorzy, gdy się chcą o swoim istotnym stanie dowiedzieć. Jest to bardzo trudna chwila dla lekarza; od jego zachowania się zależy siła moralna chorego; spojrzenie tego statniego bada go do głębi duszy: jeżeli tam dostrzeże obawę lub wątpliwość, wszystko stracone; opanowuje go zniechęcenie, sprężyny duchowe się rozluźniają i choroba bierze górę. Co do mnie, dzielnie wytrzymałem atak. Hrabia zdawał się nabierać otuchy, uściśnął mi z lekka rękę i opuścił się na poduszki znacznie spokojniejszy.

Wtedy dopiero spostrzegłem pannę Odilę i jakąś staruszkę, jej ochmistrzynię zapewne, siedzące w głębi alkowy z drugiej strony łóżka. Powitały mnie milczącym skinieniem.

Portret Jadwigi przyszedł mi znów na pamięć.

— To ona — rzekłem w duchu — to pierwsza żona Huga. To samo czoło wyniosłe, te same długie rzęsy,

to samo powłóczyście spojrzenie i ten sam nieopisanie smutny uśmiech. Ach, ileż tajemnic kryje się pod uśmiechem kobiety! Nie szukajcie tam szczęścia i radości!

Uśmiech kobiety to zasłona jej cierpienia, niepokojów, goryczy. Czy jest dziewczicą, małżonką, czy matką, zawsze uśmiechać się musi, choćby się serce krwawiło, choćby łkania rozrywały piersi. To twoja rola, kobieto, w tej wielkiej, gorzkiej komedii, która się życiem nazywa.

Zadumę moją przerwał mi hrabia Nideck.

— Gdyby Odila, moje ukochane dziecko, chciała przychylić się do moich życzeń, gdyby mi choć nadzieję zostawiła, że z czasem da się przekonać, zdaje mi się, że odzyskałbym zdrowie.

Spojrzałem na hrabiankę: miała oczy spuszczone i zdawała się modlić.

— Tak — mówił dalej chory — życie nabrałoby dla mnie powabu, nadzieja piastowania wnucząt, nadzieja przedłużenia naszego rodu wróciłaby mi siły.

Powiedział to tak miękko i łagodnie, że się wzruszonym uczułem.

Młoda dziewczyna milczała.

Po chwili hrabia, który patrzył na nią oczyma błagalnymi, mówił dalej:

— Odilo, nie chcesz więc uszczęśliwić twego ojca? Mój Boże! żądam od ciebie tylko nadziei, nie określam czasu. Nie chcę cię kępować w wyborze. Udamy na dwór cesarski. Tam znajdziesz tłumy wielbicieli. Któżby nie chciał otrzymać ręki mojej córki? Będziesz mogła wybierać!

Umilkł.

Niezmiernie to drażliwa rzecz dla obcego być świad-

kiemi takich rodzinnych nieporozumień; tyle się w nich ujawnia uczuć, interesów osobistych, że po prostu niepodobna tego słuchać bez zakłopotania... Chciałem uciec. Ale okoliczności nie pozwalały na to.

— Mój ojcze! — rzekła Odila wymijająco — da Bóg, że wyzdrowiejesz. Niebo nie zabrałoby cię z pośród tylu serc kochających. Gdybyś wiedział, mój ojcze, jak gorąco modłę się o to!

— Nie odpowiadasz na moje pytanie — przerwał hrabia sucho. — Cóż możesz mieć przeciwko memu życzeniu! Nie jest-że ono słuszne, naturalne? Mam-że więc być pozbawiony pociech, jakich lada żebrak doświadcza? Czy byłem dla ciebie złym ojcem? Czy używałem względem ciebie gwałtu lub podstępów?

— Nie, ojcze.

— A więc dlaczego sprzeciwiasz się moim prośbom?

— Postanowienie moje niezłomne. Poświęcę się Bogu.

Tyle stanowczości w istocie tak słabej przejęło mnie dreszczem. Wyglądała, jak ta rzeźbiona Madonna w wieży Hugona; wątła, niewzruszona, spokojna.

Oczy hrabiego nabrały gorączkowego blasku. Dawałem znaki hrabiance, aby dla uspokojenia powiedziała mu choć słówko nadziei, ale nie zdawała się tego widzieć.

— Tak więc — przemówił hrabia głosem zdławionym ze wzruszenia — patrzyłaś na konanie twego ojca, i gdyby dość było twego słowa, aby mu życie powrócić, tybys nie wymówiła tego słowa?

— Życie nie zależy od człowieka, ale od Boga — odparła Odila — moje słowo nic tu znaczyć nie może.

— Otóż to piękne pobożne zasady, służące do uwol-

nienia się od wszystkich obowiązków — rzekł hrabia z goryczą. — Ale czy Bóg, o którym tak bezustannie mówisz, nie powiedział: „Czcij ojca twego i matkę twoją“?

— Czczę cię, ojcze — odparła ze słodyczą — ale moją powinnością nie jest pójść za męża.

Usłyszałem, jak hrabia zgrzytnął zębami. Leżał chwilę spokojnie, poczem, odwracając się:

— Idź precz — rzekł szorstko — nie mogę cierpieć twego widoku.

A zwracając się do mnie, bladł ze wzruszenia:

— Doktorze! — zawołał — czy nie masz jakiej gwałtownej trucizny?... trucizny, która zabija, jak piorun? Daj mi ją... będzie to uczynek prawdziwie miłosierny... O gdybyś wiedział, co cierpię!...

Odila wstała i postąpiła ku drzwiom.

— Zostań! — zaryczał hrabia — przeklnę cię!

Dotychczas byłem tylko biernym świadkiem tej sceny, teraz uznałem za konieczne stanąć pomiędzy ojcem a córką.

— Panie hrabio! — zawołałem — w imię sprawiedliwości, ze względu na twoje zdrowie uspokój się. Życie twoje od tego zależy!

— Cóż mnie obchodzi życie? cóż mnie obchodzi przyśłość? Ach, czemuż nie mam noża, żeby już raz to skończyć! Śmierci chcę, śmierci!

Gwałtowność jego rosła z każdą chwilą. Drżałem, żeby w szale gniewu nie rzucił się na córkę. Ta, spokojna, blada, ukłękła na progu. Drzwi były otwarte i poza nią zobaczyłem w tej chwili Sperwera, pomie-

szanego, z zaciśniętymi usty. Zbliżył się na palcach i, pochylając się nad Odilą:

— O! panienko, panienko! — wyszeptał — hrabia jest taki dobry! Gdyby pani powiedziała tylko: „Być może... zobaczmy...”

Odila milczała, nie zmieniając postawy.

Co do mnie, dałem hrabiemu kilka kropel opium. Zażywszy lekarstwo, opuścił się na poduszki z przeciągłym westchnieniem i wkrótce głęboki i ciężki sen uspokoił jego pierś wzburzoną.

Odila wstała i wyszła ze swoją ochmistrzynią, która przez cały ten czas nie przemówiła ani słowa. Pewna spokojna godność przebijała się w chodzie hrabianki: rzecby można, wyglądała, jak upostaciowanie spehniego obowiązku.

Gdy znikła w głębi korytarza, Gedeon zwrócił się do mnie.

— Cóż ty na to, Franku? — zapytał poważnie.

Schyliłem głowę w milczeniu: stanowczość tej młodej dziewczyny przerażała mnie.

VI.

Sperwer był oburzony.

— Otóż co się nazywa szczęściem możnych! — zawołał. — Bądź-że tu panem na Nidecku, miej zamki, stawy, lasy, najpiękniejsze posiadłości w Szwarzwaldzie i słuchaj, jak ci jakieś dziewczątko będzie powtarzać słodziuchnym głosikiem: „Chcesz? Bardzo dobrze, ale ja nie chcę. Prosisz mnie? a ja odpowiadam: To niepodobna”. O Boże! co za nędza!... Czyż nie tysiąc razy lepiej urodzić się synem drwala i żyć z pracy rąk własnych? Pójdźmy, Franku. Potrzebuję odetchnąć świeżym powietrzem.

Było już około dziewiątej. Niebo, tak piękne z rana, okryło się chmurami. Wiatr bił śniegiem o szyby i ledwo można było rozróżnić wierzchołki gór sąsiednich.

Mieliśmy zejść ze schodów, wiodących na główny dziedziniec, gdy na zakręcie korytarza zetknęliśmy się nos w nos z Tobiaszem Offenlochtem.

Pocziwiec był zupełnie zadyszany.

— Hola! — zawołał, zagradzając nam drogę łaską —

gdzież u dyabła tak szybko pędzicie? A śniadanie?

— Śniadanie, jakie śniadanie? — zapytał Sperwer.

— Jakto, jakie śniadanie? przecieżeśmy się umówili, że zjemy dziś śniadanie razem z panem doktorem.

— Prawda, zapomniałem o tem.

Offenloch zaczął się śmiać, otwierając usta od ucha do ucha.

— Ha! ha! ha! a to wyborne! — zawołał. — A ja się bałem, że przyjdę ostatni.

No, no, śpieszcie się. Kasper was już czeka na górze. Kazałem nakryć w waszym pokoju, mości Sperwerze. Tam będziemy swobodniejsi. No, do widzenia!

— Nie idziecie z nami, panie Tobiaszu? — zagadnął Sperwer.

— Nie w tej chwili, muszę uprzedzić pannę hrabiankę, że baron Zimmer-Blouderic prosi o pozwolenie złożenia jej swego uszanowania, zanim opuści zamek.

— Baron Zimmer?

— Tak, ten nieznajomy, który wczoraj w nocy przyjechał.

— Dobrze, tylko się śpiesz.

— Nie bójcie się. Wrócę, zanim odkorkujecie butelki.

I oddalił się, utykając.

Wyraz „śniadanie“ zmienił zupełnie kierunek myśli Sperwera.

— Tam do licha! — rzekł, wracając się — powiadają, że dobry trunek na frasunek. Rad jestem, że nakryto w moim pokoju; pod olbrzymiem sklepieniem tej zbrojowni będziemy wyglądać, jak myszy, gryzące orzechy

w kącie kościoła. Otóż jesteście! posłuchaj, Franku, jak wiatr świszczy w strzelnicach. Rychło patrzeć, jak będziemy mieli straszną zawieję.

Popchnął drzwi i Kasper, który bębnił palcami po szybach, odwrócił się śpiesznie, aby nas powitać. Sperwer zrobił sobie z niego swoje factotum; on mu czyścił broń, naprawiał munsztuki i popregi, karmił psy podczas jego nieobecności i dopilnowywał w kuchni przyprawy ulubionych jego potraw; jednym słowem, był tem dla Sperwera, czem pan Tobiasz Offenloch dla hrabiego. Obecnie, zarzuciwszy serwetę na ramię, odkorkowywał poważnie długie butelki wina reńskiego.

— Kasprze — rzekł Sperwer — zadowolony jestem z ciebie. Wczoraj wszystko było dobre: sarna, pulardy i szczupak. Jestem sprawiedliwy. Gdy kto wypełnia swój obowiązek, lubię to głośno powiedzieć. Dziś tak samo: ta główizna dzika z sosem winnym wcale apetycznie wygląda, a zupa rakowa pachnie aż miło. Nieprawdaż, Franku?

— Istotnie.

— A więc — ciągnął dalej Sperwer — skoro tak jest, będziesz nam nalewał szklanki. Chcę cię wznosić coraz wyżej, bo zasługujesz na to.

Kasper spuszczał skromnie oczy, czerwienił się i zdawał się rozkoszować pochwałami swego pana.

Usiedliśmy i wyznaję, że z pewnem uwielbieniem patrzyłem, jak stary myśliwiec, który niegdyś był szczęśliwy, gdy mógł sobie sam zupę z kartofli ugotować, umiał grać rolę pana.

Gdyby się był urodził hrabią na Nidecku, nie mógłby przybrać szlachetniejszej i wspanialszej postawy przy

stole. Jedno jego spojrzenie wystarczało, aby ostrzedz Kaspra, jaki pólmisek ma posłać, lub jaką odkorkować butelkę.

Zabieraliśmy się właśnie do głowizny, gdy wszedł pan Tobiasz, ale nie sam; baron Zimmer-Blouderic i jego masztalarz ukazali się za nim ku wielkiemu naszemu zdziwieniu.

Powstaliśmy od stołu. Młody baron postąpił ku nam z odkrytem czołem: była to piękna głowa, blada, dumna, objęta kędziorami czarnych włosów.

— Panie — rzekł tym czystym saksońskim akcentem, którego żadne inne narzecze oddać nie może — przychodzę tu odwołać się do pańskiej znajomości okolic tu-tejszych. Hrabianka Nideckówna zapewniła mnie, że nikt lepiej od pana nie mógłby mnie w tym względzie objaśnić.

— I mnie się tak zdaje, panie baronie — odparł Sperwer, kłaniając się. — Jestem na rozkazy pana barona.

— Ważne powody zmuszają mnie jechać natychmiast pomimo zawiei — mówił dalej baron, wskazując zaśniewione okna. — Chciałbym się dostać o sześć mil stąd do Wald-Hornu.

— To będzie trudno — panie baronie, wszystkie drogi są zaszypane śniegiem.

— Wiem, ale tak trzeba.

— Przewodnik byłby niezbędny: ja, na przykład, jeżeli pan baron sobie życzy, albo Sebalt Kraft, wielki łowczy Nidecku. Zna on na wylot góry, począwszy od Unterwalden w Szwajcaryi aż do Pirmesens w Hunds-ruku.

— Dziękuję panu i wdzięczny jestem za tę gotowość, ale przyjąć jej nie mogę. Objasnienia mi wystarczą.

Sperwer skłonił się, poczem, zbliżywszy się do okna, otworzył je na rozcież. Potężny podmuch wiatru buchnął śniegiem w korytarz i zamknął drzwi z hałasem.

Baron i jego masztalarz zbliżyli się do okna.

— Panowie! — zawołał Sperwer donośnie, aby przy świcie wiatru dać się słyszeć. — Oto jest mapa kraju. Gdyby była pogoda, poprosiłbym was, żebyście weszli na wieżę sygnałową. Stamtąd widać Szwarcwald, jak na dłoni. Ale dzisiaj na nic się to nie zda. Stąd można dostrzedz szczyt Altenbergu, a dalej za tym białym wierzchołkiem Wald-Horn. Otóż trzeba iść prosto na Wald-Horn. Tam, jeżeli śnieg na to pozwoli, ze szczytu tej skały w kształcie mitry zobaczycie panowie trzy wierzchołki: Behrenkopf, Geierstein i Trielfels. Potrzeba się skierować ku ostatniemu, na prawo. Strumień przezyna dolinę Reethalu, ale teraz musi być zamarznięty. W każdym razie, jeżeliby nie było podobna iść dalej, znajdziecie panowie na lewo rodzaj wąwozu, zwanego Doliną Skalistą. Tam przepędzicie noc, a jutro, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, wiatr ustanie i będziecie mieli Wald-Horn przed sobą.

— Dziękuję panu.

— Gdybyście panowie spotkali jakiego węglarza — mówił dalej Sperwer — mógłby wam wskazać kierunek strumienia, ale wątpię, żeby się tam który na taki czas znalazł. Tylko pamiętajcie panowie obejść dokoła Behrenkopf, bo z drugiej strony zejście niemożliwe: same prostopadłe skały.

Podczas tych objaśnień przyglądałem się Sperwerowi,

którego czysty, pewny głos dobitnie każdy wyraz zaznaczał, i baronowi, który go słuchał z nadzwyczajną uwagą. Żadna przeszkoda nie zdawała się go zniechęcać, a stary masztelarz miał równie stanowczą postawę.

W chwili, gdy się cofali od okna, przelotny blask, jeden z tych szybkich zwrotów uraganu, kiedy wicher chwycił w górę masy śniegu i unosi je, jak kurtynę, odsłonił nam nieco widnokrag. Można było dojrzeć trzy szczyty poza Altenbergiem i inne szczegóły, o których Sperwer wspomniał, poczem zakotłowało się znowu w powietrzu i świat znikł nam z przed oczu.

— To dobrze — rzekł młody baron — zobaczyłem cel mojej podróży, a dzięki objaśnieniom pana spodziewam się go osiągnąć.

Sperwer skłonił się w milezeniu, a śmiały wędrowiec i jego towarzysz, pożegnawszy nas, wyszli z wolna.

Gedeon zamknął okno, poczem, zwracając się ku nam, zawołał:

— Trzeba być opętanym od dyabła, żeby się na taki czas puszczać w drogę. Wilka-bym dzisiaj na dwór nie wypędził. Ale to już ich rzecz. Ten młodzieniec bardzo mi się podoba, a i stary także. No, co tam! pijmy. Panie Tobiaszu, w twoje ręce!

Zbliżyłem się do okna, patrząc, jak baron Zimmer-Blouderic i jego masztelarz dosiadali koni. W tejże chwili, na głównym dziedzińcu, firanka, zasłaniająca jedno z wysokich okien przeciwległej baszty, uchylila się i pomimo śniegu dojrzałem bladą twarz panny Odili, posyłającą w stronę młodzieńca długie spojrzenie.

— Co tam robisz, Franku? — zawołał Sperwer.

— Nic, przypatruję się wierzchowcom tych nieznanym.

— A tak, dzielne bestye! Byłem dziś w stajni, żeby je obejrzeć.

Jeźdźcy popędzili cwałem. Firanka opadła.

VII.

Minęło dni kilka, nie przynosząc żadnej zmiany. Moje życie w Nidecku było bardzo jednostajne: z rana budziła mnie melancholijna pieśń Sebaltoowego rogu, potem szedłem do hrabiego, następnie było śniadanie, dalej medytacye Sperwera nad Czarną-Zarazą, nieskończone paplaniny Maryi Lagoutte, pana Tobiasza i całej tej czeredy domowników, która nie miała nic innego do roboty, tylko jeść, spać, grać w karty i palić tytoń. Jeden Knapwurst urządził sobie życie dość znośnie, zagrzebywał się w swoich kronikach po uszy i choć dygotał z zimna w wilgotnej bibliotece, a nos miał czerwony, jak burak, nie zniechęcało go to do dalszych poszukiwań.

Można sobie wystawić, jak okropnie się nudziłem. Sperwer pokazał mi już z dziesięć razy psiarnie i stajnie, psy zaczęły oswajać się ze mną. Umiałem już na pamięć wszystkie tłuste dykteryjki pana Tobiasza i odpowiedzi na nie Maryi Lagoutte. Melancholia Sebalta opanowywała mnie coraz bardziej z dniem każdym, byłbym chętnie zadął w jego róg, aby się górą poskarżyć, i wyteżalem bezustannie wzrok w stronę Fryburga.

Tymczasem choroba hrabiego postępowała zwykłym trybem i stanowiła moje jedyne poważne zajęcie. Wszystko, co mi powiedział Sperwer, sprawdzało się: nieraz hrabia zrywał się ze snu, unosił głowę z poduszek i, wyciągnawszy szyję, z błędnem wejrzaniem powtarzał szeptem:

— Idzie! idzie! To ona!

Wtedy Gedeon wstrząsał głową i wchodził na wieżę sygnałów, ale daremnie rozglądał się na wszystkie strony: Czarnej-Zarazy nie było.

Zastanawiając się nad tą dziwną chorobą, doszedłem wreszcie do przekonania, że hrabia Nideck był waryatem; niepojęty wpływ, jaki stara wywierała na jego umysł, kolejne napady obłędu i przytomności, wszystko utwierdzało mnie w tem mniemaniu. Doktorzy, badający zbroczenia umysłowe, wiedzą, że szaleństwa peryodyczne nie są rzeczą rzadką; jedne powtarzają się kilka razy do roku, na wiosnę, na jesień, lub w zimie, inne raz jeden tylko. Znam we Fryburgu pewną staruszkę, która już od trzydziestu lat przeczuwa sama powrót swego obłąkania i udaje się do domu zdrowia. Zamykają ją, i tam nieszczęśliwa widzi powtarzające się straszne sceny, których świadkiem była w młodości: drży pod ręką kata, czuje, jak ją oblewa krew ofiar, płacze i jęczy, aż serce boli ją słuchać. Po kilku tygodniach ataki stają się radszymi. Wypuszczają ją wreszcie na wolność z tą pewnością, że na rok przyszyły powróci.

— Hrabia Nideck znajduje się w podobnem położeniu — mówiłem do siebie. — Nieznane nam wszystkim węzły łączą go z Czarną-Zarazą. Kto wie?... Ta kobieta była niegdyś młodą... musiała być piękną...

I wyobraźnia moja, raz wbiegłszy na te tory, snuła całą romantyczną historję. Tylko chowałem wszystko dla siebie: Sperwer nie byłby mi nigdy darował podejrzywania hrabiego o jakie stosunki ze starą wiedźmą; co zaś do panny Odili, to sam wyraz „obłąkanie“ byłby dla niej strasznym ciosem.

Biedna dziewczyna była bardzo nieszczęśliwa. Jej opór co do zamęścia tak rozdrażnił hrabiego, że nie mógł znieść jej obecności, wyrzucał jej ciągle nieposłuszeństwo i rozwodził się nad niewdzięcznością dzieci. Często nawet obecność Odili w pokoju chorego pociągała za sobą gwałtowne ataki. Doszło to do tego, że byłem zmuszony wdać się w tę sprawę. Pewnego wieczora oczekiwałem na nią w przedpokoju hrabiego i tam zacząłem ją błagać, aby zaprzestała doglądać ojca, ale trafiłem na nieprzewidziany opór. Pomimo wszelkich przełożeń i uwag moich, chciała koniecznie czuwać w nocy przy ojcu, jak to dotychczas czyniła.

— Jest to moim obowiązkiem — rzekła stanowczo — i nic na świecie odwieść mnie od tego nie zdoła.

— Pani — rzekłem, stanąwszy przed drzwiami chorego — lekarz ma także obowiązki i, aczkolwiek są one często bolesne, a nawet okrutne, musi je wypełniać, jeżeli jest uczciwym człowiekiem: obecność pani zabija hrabiego.

Nie zapomnę nigdy nagłej zmiany, jaka zaszła w ryśach Odili. Na te słowa wszystka krew zbiegła jej do serca; zbladła, jak marmur, a wielkie jej błękitne oczy utonęły we mnie z takim napięciem, jakgdyby mnie do głębi duszy przeniknąć chciały.

— Czy to podobna? — wyszeptwała. — Pan mi to zaręczasz honorem, nieprawdaż?

— Tak, pani, honorem!

Nastąpiło długie milczenie.

— Dobrze — rzekła wreszcie Odila stłumionym głosem — niech się dzieje wola Boga.

I z pochyloną głową odeszła.

Nazajutrz po tej scenie, około ósmej z rana, przechadzałem się po wieży Hugona, rozmyślając o chorobie hrabiego, której końca przewidzieć nie mogłem, o mojej klienteli we Fryburgu, którą wskutek zbyt długiej nieobecności mogłem stracić, gdy zapukano do drzwi trzykrotnie.

— Proszę wejść!

Drzwi się otwarły i Marya Lagoutte stanęła na progu, składając mi głęboki ukłon.

Odwiedziny te były mi bardzo nie na rękę; chciałem ją prosić, aby mnie zostawiła samego, ale uderzył mnie niezwykle wyraz jej twarzy. Miała zesnurowane usta, spuszczone głowę i — co mnie najwięcej zdziwiło — wszedłszy, otworzyła znowu drzwi, aby się przekonać, czy nikt za nią nie szedł.

— Czego chce ode mnie? — pomyślałem. Co znaczą te ostrożności? Zaciekawilo mnie to trochę.

— Przepraszam pana doktora, że go tak wcześniej nachodzę — rzekła, zbliżając się do mnie — ale mam panu coś ważnego do powiedzenia.

— Mów pani, o co chodzi.

— Chodzi o hrabiego.

— A!

— Tak jest. Pan doktor wie zapewne, że to ja pilnowałam go zeszłej nocy.

— W istocie. Usiądź pani, proszę.

Usiadła naprzeciwko mnie w wielkim skórzanym fotelu i wtedy dopiero zauważyłem ze zdziwieniem energiczny charakter tej głowy, która dotąd wydawała mi się zupełnie pospolitą.

— Panie doktorze — rzekła po chwilowym milczeniu, utkwivszy we mnie swe wielkie, czarne oczy — muszę panu naprzód powiedzieć, że nie jestem wcale lekkliwa; widziałam tyle rzeczy w życiu i tak strasznych, że już mnie nic nie dziwi: gdy się przeszło przez Marengo, Austerlitz i Moskwę, żeby dojść do Nidecku, to się strach zostawiło w drodze.

— Wierzę bardzo.

— Nie mówię tego, żeby się chwalić, ale żeby pan doktor nie wziął mnie za lunaticzkę i uwierzył mi, gdy mu powiem „Widziałam coś takiego“.

— Co ona mi u dyabła powie? — pomyślałem.

— Otóż wczoraj — mówiła dalej — miałam już się położyć, bo była blisko dziesiąta, gdy nagle wchodzi Offenloch i powiada: „Maryo, musisz iść pilnować hrabiego“. Zdziwiło mnie to zrazu, więc mówię: „Jakto! pilnować hrabiego? alboż panienska sama przy nim nie czuwa?“ — „Nie, panienska jest chora, musisz ją zastąpić“. — „Chora!... biedactwo! wiedziałam, że się na tem skończy. Powtarzałam jej to po sto razy, ale cóż pan chcesz, panie doktorze? gdy człowiek młody, wszystko sobie lekceważy, a zresztą to jej ojciec. Biorę tedy pończochę do roboty i idę do pokoju hrabiego. Sperwer, który na mnie czekał, odchodzi. A no dobrze, zostaję sama.

Tu poczciwa kobiecina zażyła zwolna niuszek tabaki i zdawała się namyślać. Słuchałem jej z wielką uwagą.

— Było około wpół do jedenastej — ciągnęła dalej — siedziałam z robotą przy łóżku i od czasu do czasu podnosiłam kotarę, aby zobaczyć, co robi hrabia: nie rzucał się; spał spokojniutko, jak dziecko. Wszystko szło dobrze aż do jedenastej. Wtedy uczułam się zmęczoną. Kiedy się jest stara, panie doktorze, to trudna rada, człowiek się zdrzemnie mimo woli; zresztą, widząc hrabiego tak spokojnym, powiedziałam sobie: „Będzie spał bez przerwy aż do rana“. Około północy wiatr ustał, szyby przestały dzwonić. Wstałam zobaczyć, co się dzieje na dworze. Było ciemno, choć oko wykol; wracam do łóżka, patrzę na chorego. Śpi, ani się ruszy. Biore znow pończochę, ale po kilku chwilach zasypiam... ale to zasypiam na dobre. Fotel był miękki, jak puch, w pokoju było ciepło... Cóż pan chcesz? Spałam już z godzinę, gdy mnie obudził zimny powiew powietrza. Otwieram oczy i cóż widzę? Okno środkowe otwarte, firanki podniesione, a hrabia w koszuli stoi na oknie.

— Hrabia?

— Tak.

— To niepodobna... On się ruszać nie może.

— Być może, ale widziałam go tak, jak teraz pana doktora widzę. Trzymał pochodnię w dłoni. Noc była ciemna i tak spokojna, że płomień ani drgnął.

Patrzyłem na Maryę-Annę osłupiały.

— Z początku — mówiła dalej — kiedym go tak zobaczyła w koszuli, z gołymi nogami, stojącego na oknie, Bóg wie co się ze mną zrobiło... Chciałem krzyknąć! Ale



Hrabia w koszuli stoi na oknie.

pomyślałam sobie: „A nuż to lunatyk! jeżeli krzykne, obudzi się, spadnie... i po nim!“ Siedzę więc cicho i patrzę, aż mi oczy z głowy wychodzą. A on dopiero podnosi z wolna pochodnię i spuszcza ją... podnosi i spuszcza tak trzy razy, jakby k:mu znak dawał; poczem rzuca ją na wały, zamyka okno, zasuwa firanki, przechodzi koło mnie, nie widząc mnie wcale, i kładzie się napowrót do łózka, mrużąc coś pod nosem.

— Czy pani jesteś pewna, żeś to widziała?

— Czy jestem pewna? Ależ najzupełniej.

— To dziwne!

— Spodziewam się, że dziwne, ale tak było. W pierwszej chwili bardzo mi się nijako zrobiło, ale gdy zobaczyłam znów hrabiego w łóżku z rękami złożonemi na pierśsiach, jakgdyby nigdy nic, powiedziałam sobie: „Maryo-anno, co ci się stało? To być nie może“, poczem podchodzę do okna. Ale pochodnia paliła się jeszcze; upadła w krzaki i migotała wśród nich, jak gwiazda. Nie można było wątpić.

Marya Lagoutte umilkła i popatrzyła na mnie.

— Pojmuje pan, panie doktorze, że od tej chwili nie myślałam już o spaniu. Ciągłe mi się zdawało, że się coś rusza za moim fotelem. Nie bałam się naturalnie, ale zawsze niespokojna byłam. Zaraz o świcie pobiegłam obudzić Tobiasza i posłałam go do hrabiego. Przechodząc przez korytarz, zauważyłam, że brakuje jednej pochodni; wyszłam na wały i znalazłam ją tuż przy ścieżce, wiodącej do Szwarcwaldu. Oto jest.

Mówiąc to, wyjęła z pod fartucha kawałek pochodni i złożyła go na stole.

Byłam jak oszołomiony.

Jakim sposobem ten człowiek, którego wczoraj widziałem tak osłabionym, tak wyczerpanym, mógł wstać, chodzić, otworzyć i zamknąć ciężkie okno? Co znaczył ten znak wśród nocy? Zdawało mi się, że jestem obecny jakiejś tajemniczej, dziwnej scenie, i mimowoli przyszła mi na myśl Czarna-Zaraza. Marya Lagoutte, wstając, wyrwała mnie z zadumy.

— Dobrze pani zrobiłaś, powiadamiając mnie o tem — rzekłem, odprowadzając ją do drzwi — i dziękuję pani za to. Nie mówiłaś pani nikomu o tem?

— Nikomu; takie rzeczy mówi się tylko księdzu przy spowiedzi i lekarzowi.

— To dobrze, widzę, że dzielna z pani kobieta.

Zamienialiśmy te słowa na progu. W tej chwili ukazał się w głębi galeryi Sperwer ze swoim przyjacielem, Sebaltem.

— Słuchaj, Franku! — zawołał zdaleka — dowiesz się pięknych rzeczy.

— Masz tobie! — pomyślałem — jeszcze coś nowego. Widocznie dyabeł miesza się w tę sprawę.

Marya Lagoutte znikła. Dojeżdżacz i jego towarzyszy weszli do wieży.

VIII.

Na twarzy Sperwera malował się gniew hamowany, oblicze Sebalta tchnęło gorzką ironią. Wielki łowczy był mężczyzną wysokim, chudym, z postawą melancholijną. Ubrany był w kurtkę myśliwską, ściśniętą pasem, z poza którego wyglądał nóż oprawny w róg jeleni, na plecach miał trąbkę, na głowie kapelusz z czaplem piórem; wysokie buty zachodziły mu za kolana.

— Tak — ponowił Sperwer — dowiesz się pięknych rzeczy.

Rzucił się na krzesło, biorąc się rękoma za głowę rozpaczliwym ruchem. Sebalt zdjął spokojnie trąbkę i położył ją na stole.

— No, Sebalcie! — zawołał Gedeon — mów-że!

Poczem, spoglądając na mnie, dorzucił:

— Czarownica krąży dokoła zamku.

Ta wiadomość byłaby mi zupełnie obojętną, gdyby nie opowiadanie Maryi Lagoutte. Teraz jednak uderzył mnie tu zbieg okoliczności. Istniały więc jakieś stosunki

między hrabią Nideckiem a starą... jakie, nie wiedziałem, ale postanowiłem się dowiedzieć bądź co bądź.

— Jeszcze chwilę, panowie — rzekłem do Gedeona i jego przyjaciela. — Przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, skąd pochodzi Czarna-Zaraza.

Sperwer popatrzył na mnie z osłupieniem.

— A! Bóg ją wie — rzekł wreszcie.

— Kiedy mianowicie zjawia się ona w tych stronach?

— Powiedziałem ci już: na tydzień przed Bożem Narodzeniem, każdego roku.

— I zostaje tu?

— Od dwóch do trzech tygodni.

— A przedtem i potem nie widać jej nigdy?

— Nigdy.

— A więc potrzeba ją schwytać koniecznie! — zawołałem. — To nienaturalne. Trzeba się dowiedzieć, kto ona, czego chce, skąd przychodzi.

— Schwytać! — powtórzył wielki łowczy ze szczególnym uśmiechem — schwytać!

I potrząsł melancholijnie głową.

— Mój Franku — rzekł Sperwer — rada twoja dobra zapewne, ale łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Gdyby można posłać jej kule, to co innego. Ale hrabia na to nie pozwala... Inaczej zaś... ani sposobu. Złap-że jelenia za ogon! Zresztą posłuchaj Sebalta, a zobaczysz.

Łowczy, który siedział przy stole, założywszy nogę na nogę, spojrział na mnie i rzekł:

— Dziś rano, zszedłszy z Altenberga, wracałem do Nidecku. Szedłem, nie myśląc o niczem, aż tu ślad jakiś uderza moje oczy. Nie był to tróp ani zająca, ani dzika,

ani wilka, ale jakieś zagłębienie zaokrąglone, istna dziura. Zatrzymuję się, odgarniam śnieg, żeby się lepiej przypatrzyć, i poznaję ślad Czarnej-Zarazy.

— Czy jesteś pan tego pewny?

— Jakto, czy jestem pewny? Znam nogę starej lepiej, niż jej twarz; bo ja, panie, patrzę ciągle w ziemię i poznaję ludzi po śladach. Zresztą dziecko-by się w tem nie omyliło.

— Cóż tak szczególnego ma w sobie ta noga?

— Jest taka maleńka, że w dłoni-by ją schować można, wążka w pięcie, palec wielki bardzo zbliżony do reszty palców; jednym słowem, nóżka, co się nazywa prześliczna! Ja, panie, przed dwudziestu laty byłbym się w tej nodze zakochał. Ile razy ją zobaczę, sprawia to na mnie wrażenie. Wielki Boże, czy podobna, żeby Czarna-Zaraza miała tak śliczną nogę!

I Sebalt, złożywszy ręce, zapatrzył się melancholijnie w kamienną posadzkę.

— No i cóż dalej, Sebalcie? — ozwał się z niecierpliwością Sperwer.

— A! prawda. Otóż poznałem ślad, idę więc za nim, w nadziei, że gdzie starą przydybę. Zobaczysz pan, dokąd mnie ona zaprowadziła. Wdrapałem się naprzód na wzgórek o dwa strzały karabinowe od Nidecku, zszedłem z drugiej strony, mając wciąż ślad przed oczyma i kierując się ku dolinie Réethalu. Aż tu rażem widzę go po drugiej stronie wąwozu. Dobrze. Daję susa przez wąwóz i idę dalej, gdy oto, spojrzawszy wypadkiem na lewo, spostrzegam drugi ślad: widocznie ktoś szedł za Czarną-Zarazą. Czyżby Sperwer, albo Kasper Trumpf? Zbliżam się i wystaw pan sobie moje zdumienie: to nie był nikt.

z naszych. Znam wszystkie nogi w Szwarewaldzie, we Fryburgu i w Nidecku. To musiał być ktoś z daleka. But — bo był to but z ostrogami, które zostawiały za sobą kreskę — nie miał, jak u nas, okrągłego nosa, ale kańciasty; podeszew była bez gwoździ i cienka.

Chód prędko zdradzał młodego człowieka.

— Ktoby to mógł być? — zagadnałem.

Sebalt wzruszył ramionami, rozłożył ręce i umilkł.

— Co komu mogło zależeć na śledzeniu starej? — rzekłem znów, zwracając się do Sperwera.

— A dyabli to wiedzą! — odparł desperacko.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu.

— Idę więc za śladami — ciągnął dalej Sebalt — zagłębiam się między jodły, potem okrążam skałę Roche Fendue, gdzie stara widocznie usiłowała ślad zmylić. „A! przekłeta wiedźmo — pomyślałem — gdyby tylko taka, jak ty, zwierzyzna była w świecie, niktby nie chciał być myśliwym: lepiejby było pracować, jak murzyn. Tymczasem dochodzimy, oba ślady i ja, na szczyt Schneebergu. Tu wiatr naniósł śniegu; miałem go za kolana. To nic! przechoǳę, dostaję się nad brzeg strumienia Steinbach. Ani śladu już Czarnej-Zarazy. Zatrzymuję się i widzę, że buty mego jegomości, podreptawszy na prawo i na lewo, skierowały się nakoniec ku Tiefenbachowi. Zły znak! Patrząc po drugiej stronie strumienia: nic! Stara dyablica musiała iść w górę rzeki lub z prądem, brodząc w wodzie, żeby śladów nie zostawić. Dokąd się zwrócić? Na prawo, czy na lewo? W tej niepewności zabrałem się i wróciłem do Nidecku.

A! prawda. U stóp La Roche Fendue spostrzegłem, że musiała tam palić ogień, bo miejsce było czarne. Dot-

knąłem go ręką, myśląc, że jeszcze ciepłe, coby mnie przekonało, że Czarna-Zaraza nie musi być daleko, ale było zimne, jak lód. Nieopodal zauważyłem siatkę zastawioną w krzakach.

— Siatkę?

— A tak. Pokazuje się, że stara umie zastawiać sidła. Zając się w nie złapał; ślad jego był widoczny na śniegu. Ta stara czarownica zapaliła ogień, żeby go upiec, i uraczyła się.

— I pomyśleć — zawołał Sperwer, pięścią w stół uderzając — pomyśleć, że ta przekłeta wiedźma je mięso, gdy w naszych wioskach tylu poczciwych ludzi żywi się tylko kartoflami! To mnie oburza, Franku... A! gdybym ją gdzie przycapil!

Ale nie miał czasu skończyć tej myśli; zbladł i wszyscy trzej, nieruchomi, jakby przygwożdżeni do miejsca, spoglądaliśmy na siebie z otwartymi ustami.

Wycie, straszne wycie wilka, to wycie, które trzeba słyszeć, aby pojąć, jak rozdzierająca i złowroga jest skarga dzikich zwierząt — to wycie rozlegało się tuż przy nas! Rzekłby kto, że wilk znajdował się na progu wieży.

Mówią wiele o ryku lwa, rozlegającym się wieczorem wśród niezmiernych przestrzeni pustyń; ale jeżeli skwarna, skalista Afryka ma swój głos podobny do dalekiego grznotu, to śnieżyste płaszczyzny Północy mają także swój głos dziwny, dostrojony do ponurej zimowej martwoty, a ten głos to wycie wilka.

Zaledwie rozległ się ten ton złowrogi, aliści odpowiedział mu drugi, potężny, ogluszający. Było to szczekanie sześćdziesięciu psów na wałach, co w połączeniu z brzę-

kiem łańcuchów, do których były przywiązane, a które targały z wściekłości, tworzyło piekielny hałas.

Sperwer zerwał się z miejsca i pobiegł na platformę, patrząc na dół.

— Czyby wilk wpadł do rowu? — rzekł zdumiony.

Ale wycie pochodziło z zewnątrz.

Wtedy, zwracając się ku nam:

— Franku! Sebalcie! — wykrzyknął — przybawajcie!

Zbiegliśmy ze schodów i wpadliśmy wszyscy trzej do zbrojowni. Tam słyhać już było tylko wilka skarżącego się pod sklepieniami, szczekania psów dolatywały nas słabe już, jakby ochryple.

Sperwer dobył kordelasa, Sebalt uczynił to samo i biegli, mnie wyprzedzając.

Wycia kierowały nas ku pokojowi chorego. Sperwer już nic nie mówił, tylko pędził. Sebalt wyciągał swoje długie nogi. Co do mnie, wyznaję, że dreszcz przebiegał mi członki. Przeczuwałem coś strasznego.

Cały dom był w ruchu. Po drodze spotykaliśmy strzelców, kuchcików, posługaczy, rozbiegających się na wszystkie strony i pytających się wzajemnie:

— Co to jest? Co znaczy to wycie?

Nie zatrzymując się, dobiegliśmy do przedpokoju, poprzedzającego sypialnię hrabiego. Tam rozminęła się z nami Marya Lagoutte, która jedna miała odwagę dotrzeć tak blisko. Trzymała w objęciach zemdloną hrabiankę.

Chociaż przebiegliśmy koło niej tak szybko, że ledwie mogłem rzucić okiem na ten patetyczny widok, przecież utkwił mi on na zawsze w pamięci. Nieraz widzę bladą głowę Odili z rozpuszczonymi włosami, zwieszoną na



Trzymała w objęciach zemdloną hrabiankę.

ramieniu pocziwej kobieciny, i przypomina mi się niewinne jagnię, które bez oporu szyję pod nóż podaje, zabite już naprzód przerażeniem.

Stanęliśmy wreszcie przed drzwiami hrabiego.

Wycie dolatywało nas z wewnątrz.

Spojrzelśmy po sobie w milczeniu, nie próbując nawet wytłómaczyć sobie obecności takiego gościa; mieszało nam się w głowach.

Sperwer popchnął drzwi i z kordelasem w ręku chciał wbiedz do pokoju, ale zatrzymał się na progu, jak skamieniały.

Nie widziałem nigdy podobnego przerażenia, malującego się na twarzy ludzkiej; zdawało się, że oczy mu z głowy wyskoczą, a długi jego nos zagiął się szponiasto nad otwartymi ustami.

Spojrzałem nań przez ramię i także stanąłem osłupiały.

Hrabia Nideck siedział skulony na łóżku z rękami wyciągniętymi naprzód, z błyszczącymi oczyma i wydawał przeciągle okrzyki.

Wilk... to był on!...

To czoło płaskie, ta twarz wydłużona i śpiczasta, ta broda rudawa, jeżąca się na policzkach, wzrok, głos, postawa — wszystko w tym człowieku zdradzało dzikie zwierzę, skryte pod maską ludzką.

Sperwer, Sebalt i ja, staliśmy, nie mogąc prawie oddychać z przerażenia.

Nagle hrabia umilkł; podniósł głowę i nadstawił ucho, jak zwierzę, gdy wietrzy.

Daleko... daleko... z pod wysokich jodłowych lasów dawało się słyszeć drugie wycie; zrazu słabe, potem coraz

silniejsze, wreszcie zapanowało nad głosami szczekających psów na wałach: wilczyca odpowiadała wilkowi.

Wtedy Sperwer zwrócił się ku mnie blady i, wyciągając rękę w stronę góry, szepnął:

— Słuchaj, to stara!

A hrabia, z podniesioną głową, z wyciągniętą szyją, otwartymi ustami i palającym okiem, zdawał się rozumieć, co mu mówił ten głos daleki, ginący w pustych wąwozach Szwarzwaldu; dzika jakaś radość malowała się na jego twarzy.

W tej chwili Sperwer głosem, podobnym do łkania, wykrzyknął:

— Hrabio Nidecku, co czynisz?

Hrabia padł, jak spiorunowany. Rzuciliśmy się na jego ratunek.

Zaczął się trzeci atak: ten był straszny.

IX.

Hrabia na Nidecku umierał.

Cóż może nauka wobec tej wielkiej walki życia ze śmiercią? W tej chwili ostatniej, gdy obaj niewidzialni zapaśnicy przewracają się i podnoszą naprzemiany, usiłując się zwyciężyć, w takiej chwili... cóż pomoże lekarz?

Musi tylko patrzeć, słuchać i drzeć.

Czasami bój się zawiesza, życie kryje się w twierdzącej swojej, czerpiąc tam odwagę rozpacz. Ale nieprzyjaciel umie tam za niem wtargnąć. Wtedy znowu wre walka, gorętsza, zażartsza, bliższa fatalnego rozwiązania.

A chory, zimnym potem oblany, bezwładny, z osłupiałymi oczyma, nic sobie także pomódz nie może. Oddech jego, raz krótki i przyśpieszony, to znów wolny i głęboki, zaznacza różne fazy tej przerażającej walki. A obecni patrzą na to i myślą: „Kiedyś ta sama walka potworzy się dla nas. Śmierć zwycięży, zadławi nasze ciało w swoich uściskach, jak pajak muchę. Ale iskra życia...

ale dusza... ta rozwinie skrzydła i uleci ku niebiosom, wołając: „Spełniłam swój obowiązek, walczyłam mężnie!“ A śmierć, patrząc na nią z dołu, nie zdoła podnieść się w te wyżyny: w objęciach swych trzymać będzie tylko trupa! O! jakąż pociechą jest nadzieja nieśmiertelności! Byłby barbarzyńcą i okrutnikiem ten, któryby ją chciał z piersi ludzkiej wydrzeć“.

Około północy straciłem już wszelką nadzieję co do hrabiego; konanie się zaczęło; puls prędko, nierówny ustawał chwilami, to znów ze wznowioną siłą uderzał.

Nie pozostawało mi zatem już nic, tylko patrzeć na śmierć tego człowieka; zrobiłem wszystko, co nauka dokazać może.

Byłem tak zmęczony, że chwiałem się na nogach, poleciłem więc Sperwerowi, żeby czuwał nad swoim panem, i zamknąłem oczy.

Biedny Sperwer! Nie mógł sobie darować mimowolnego wykrzyku: „Hrabio Nidecku, co czynisz?“ i darł włosy z głowy w napadzie rozpacz.

Poszedłem sam do wieży Hugona, posiliwszy się wprzód cokolwiek. Dobry ogień płonął na kominku. Rzucałem się w ubraniu na łóżko i wnet ogarnął mnie sen ciężki, niespokojny, męczący. Spałem tak, z twarzą zwróconą do okna, którego światło oblewało kamienną posadzkę.

Po godzinie może drzewo się wypaliło i, jak bywa w takich razach, płomień błyskał od czasu do czasu jaśniejszą iskrą i, rzucając czerwone smugi na ściany, drażnił mi powieki. Wpół senny otworzyłem oczy, chcąc się przekonać, skąd pochodzą te raptowne przejścia od światła do ciemności.

Czekała mnie najdziwniejsza niespodzianka.

Przed kominkiem, słabo oświetlona dogasającymi główniami, rysowała się ciemna sylwetka Czarnej-Zarazy.

Zrazu wziąłem to za złudzenie, prosty skutek myśli, jakie mnie w ostatnich dniach zajmowały; uniosłem się na łokciu, wlepiając w to niespodziewane zjawisko rozszerzone obawą oczy.

Tak, to była ona. Siedziała w takiej samej postawie, w jakiej ją po raz pierwszy zobaczyłem, skulona, oplatając rękoma kolana i grzejąc się w milczeniu. Poznałem tę długą, suchą szyję, ten nos orli i zaciśnięte usta.

Strach mnie ogarnął.

Jakim sposobem dostała się tutaj? Jakim sposobem weszła na tę wysoką wieżę, zawieszoną nad przepaścią?

Wszystko, co mi opowiadał Sperwer o jej tajemniczej potędze, wydało mi się usprawiedliwionem. Lieverlé, warczący na mur, przyszedł mi na pamięć... Wcisnąłem się w głąb alkowy, zaledwie śmiać oddychać i spoglądając na nieruchomą postać Czarnej-Zarazy, jak mysz patrzy ze swojej dziury na kota.

Stara nie ruszała się. Mruczała tylko niezrozumiale pod nosem.

Serce biło mi gwałtownie, obawa rosła z każdą chwilą.

Trwało tak może z kwadrans, gdy ogień, objawszy jakąś nienaruszoną dotąd gałązkę, rzucił jasny snop światła aż na środek sali. Ten błysk ukazał mi dokładnie starą, odzianą w odwieczną suknię ze złotogłowiu barwy purpurowej, wpadającej w fiolet. Ciężka bransoleta okalała jej lewą rękę, a w gęstych siwych włosach, skręconych w węzeł na karku, świeciła złota strzała.

Było to jakby zjawisko z czasów średniowiecznych. Jednakże Czarna-Zaraza nie mogła mieć względem mnie wrogich zamiarów: byłaby skorzystała z mego snu, żeby je uskuteczyć.

Mysł ta uspokoiła mnie trochę, gdy nagle stara wstała i zwolna... zwolna... zbliżyła się do mego łóżka, trzymając w ręku zapaloną przed chwilą pochodnię.

Spostrzegłem, że wzrok jej był bezprzytomny i nieruchomy.

Chciałem wstać, krzyknąć, ale członki odmówiły mi posłuszeństwa, ani jeden mięsień nie drgnął w moim ciele, oddech nawet zatrzymał się na ustach.

A stara, pochylona nade mną, przypatrywała mi się z dziwnym uśmiechem. Wzrok jej działał na mnie tak, jak działa wzrok węża na biedną ptaszynę: byłem jakby sparaliżowany.

Każda sekunda wydawała mi się wiecznością.

Jakie były zamiary starej?

Byłem przygotowany na wszystko.

Nagle odwróciła głowę, nasłuchując, poczem przeszła pokój wielkimi krokami i otworzyła drzwi.

Odzyskałem przecież trochę odwagi i przytomności. Silna wola postawiła mnie na nogi. Rzuciłem się za starą, która jedną ręką podnosiła pochodnię, a drugą przytrzymywała drzwi. Już miałem ją chwycić za włosy, gdy oto w głębi galerii pod łukowatym sklepieniem, wiodącym na ów wał, łączący zamek z wieżą, zobaczyłem... kogo?

Hrabiego Nidecka!

Ten, którego miałem za umierającego, siedł teraz krokiem pewnym, odziany w olbrzymią wileczą skórę

z wierzchnią jej szczęką nasuniętą na czoło, jak przyłbica, z łapami na ramionach i ogonem, wlokącym się po ziemi.

Na nogach miał ciężmy skórzany; srebrna spina w kształcie pazurów przytrzymywała mu skórę u szyi, a wszystko w jego powierzchowności, z wyjątkiem wzroku dziwnie nieruchomego, znamionowało władcę i pana nawykłego do rozkazów.

Wobec tego zjawiska, dziwniejszego nad wszystko inne, zmaćło mi się w głowie. Ucieczka nie była możliwa. Miałem jeszcze tyle przytomności umysłu, iż rzuciłem się w zagłębienie okna.

Hrabia wszedł, patrząc na starą ponuro. Przemówili ze sobą kilka słów zniżonym głosem, tak zniżonym, że nic z tej rozmowy usłyszeć nie mogłem, ale gesty ich były wyraziste: stara wskazywała łóżko.

Zbliżyli się do kominka na palcach. Tam Czarna-Zaraza, uśmiechając się, rozwinęła duży worek.

Zaledwie hrabia zobaczył ten worek, poskoczył i w jednej chwili był już przy łóżku, oparł na niem kolano. Firanki zakolysały się, postać jego znikła pod ich fałdami. Widziałem tylko jedną jego nogę, opartą o kamienną posadzkę i ogon wileczy, miotający się na prawo i na lewo.

Wyglądało to na scenę mordu.

Z kolei stara przybiegła, rozwijając worek.

Firanki poruszyły się jeszcze, rzucając cień na ścianę. Co jednak było najokropniejszego w tem wszystkim, to wrażenie krwawej smugi, jakie na mnie zrobił przyczepiony do obuwia hrabiego śnieg, który topniał

w gorącu i czarniawym wężykiem płynął z wolna ku kominkowi.

Patrzyłem na to z lodowaciami ze strachu, gdy zrobił się ruch wielki. Hrabia i stara pakowali prześcieradła do worka, wpychając je z pośpiechem psa, grzebiącego ziemię, poczem pan na Nidecku zarzucił ten przedmiot niekształtny na ramię i skierował się ku drzwiom. Koniec prześcieradła włókł się za nim. Stara przyświecała mu pochodnią i wyszli.

Kolana uginały się pode mną; szeptałem po cichu modlitwę.

Nagle, pchnięty nieprzewartą ciekawością, rzuciłem się za niemi. Chciałem przebiec szaniec, gdy naraz głęboki otwór ukazał się tuż przy moich stopach. W głębi jego były schody kręte i światło pochodni migalo na nich, obracając się dokoła kamiennego słupa coraz niżej... niżej...

Zszedłem i ja z kilku pierwszych schodów, kierując się za tem dalekiem światłem.

Nagle światło znikło: hrabia i stara dosięgli dna przepaści. Ja, trzymając się ręką słupa, zstępowałem wciąż powoli, pewien, że, gdyby innego wyjścia nie było, będę mógł tą samą drogą do wieży powrócić.

Wkrótce schody się skończyły. Rozejrzałem się dokoła i spostrzegłem na lewo promień księżycowy, drżący w otworze małych drzwiczek, zasłoniętych krzakami. Rozsunąłem tę zaporę i, wyszedłszy, znalazłem się u stóp wieży Hugona.

Ktoby przypuścił, że takie wejście prowadziło do zamku? Skąd stara o niem wiedziała? W tej chwili nie zastanawiałem się nad temi pytaniami.

Olbrzymia płaszczyzna rozciągała się przede mną, oświetlona, jak w biały dzień. Z prawej strony czarna linia Szwarewaldu ze swymi szczytami, wąwozami i parowami rozwijała się w nieskończoność. Powietrze było zimne i spokojne. Uczułem się orzeźwiony tą ostrą atmosferą.

Rzuciłem wzrokiem dokoła, aby się przekonać, w jaką stronę udał się hrabia ze starą. Wyniosłe ich postaci wstępowały z wolna na wzgórek o dwieście kroków ode mnie, rysując się wyraźnie na tle rozgwieżdżonego nieba.

Dopędziłem ich wkrótce.

Hrabia szedł powoli; prześcieradło włókło się za nim. Ruchy jego i starej miały w sobie coś automatycznego.

Postępowali ku Altenbergowi, idąc na przemiany w cieniu lub w pełnym świetle, bo księżyc świecił nadzwyczajnym blaskiem. Kilka chmurek goniło za nim, jakby usiłując go pochwycić w ciemne swe objęcia, ale wymykał im się zawsze, a zimne jego promienie przesywały mnie do głębi, jak ostrza stalowe.

Chciałem się wrócić, ale niepojęta siła pchała mnie naprzód.

Dziś jeszcze widzę tę ścieżkę, wijącą się wśród zarośli Szwarewaldu, słyszę śnieg, skrzypiący pod memi stopami, słyszę lekki powiew nocny, szmerzący wśród suchych gałęzi; widzę te dwie milczące postaci i siebie, idącego za niemi, i dotąd zrozumieć nie mogę, jaka tajemnicza potęga kierowała mną wtedy. Weszliśmy wreszcie w głąb lasu pod wyniosłe, nagie, ogołocone z liści buki. Olbrzymie ich konary rzucały długie cienie na zaśnieżoną drogę. Chwilami zdawało mi się, że słyszę jakiś szelest

za sobą. Odwracałem głowę z pośpiechem, ale nie widać nie było.

Dosięgnęliśmy skał na szczycie Altenbergu; poza temi skałami szumi wodospad Schneebergu, ale w zimie wodospady nie szumią; milczenie natury nie ma swego odrębnego głosu, jakim tak silnie na wiosnę przemawia do duszy człowieka: niema w niem ani szmeru liści, ani plusku wody, ani świergotu ptasząt, jest tylko martwo-ta, czyli to, co najbardziej na świecie przeraża.

Hrabia i stara znaleźli rozpadlinę w skale i weszli od razu bez wahania, z pewnością nie do uwierzenia; co do mnie, musiałem się czepiać krzaków, żeby za nimi podążyć.

Dosięgłszy szczytu skały, znalazłem się o trzy kroki od nich, a z drugiej strony zobaczyłem przepaść bezdenną. Na lewo wodospad Schneebergu, jakby skamieniały w chwili skoku, wisiał w powietrzu masą lodową, po której ślizgały się promienie księżycowe. Ten widok, połączony z obecnością tych dwóch istot milczących, biorących się do straszego dzieła z automatycznym spokojem, przejął mnie na nowo strachem, który cała natura zdawała się podzielać.

Hrabia zdjął ciężar z ramienia; on i stara kołysali go chwilę nad przepaścią, poczem białe prześcieradło rozwinęło się w powietrzu, niby łabędź roniony z rozpostartem skrzydłem, opuszczało się coraz niżej... niżej... aż znikło w czarnych głębiach przepaści.

Mordercy pochylili się nad nią.

W tej chwili chmurka, która od niejakiego czasu zbliżała się do księżycy, osłoniła go błękitną oponą.

Stara, trzymając hrabiego za rękę, pociągnęła go z szybkością na dół.

Chmura stłumiła zupełnie światło księżycy. Nie mogłem postąpić kroku bez narażenia się na spadnięcie w przepaść. Po niejakim czasie wyjaśniło się znowu. Spojrzałem. Byłem sam na skale, stojąc w śniegu po kolana. Zdjęty przerażeniem, zsunąłem się na dół i zacząłem biedz ku zamkowi z takim uczuciem, jak gdybym sam zbrodnię popełnił.

Co do hrabiego i starej, nigdzie ich widać nie było. Dokądże poszli? Jakim sposobem zniknęli?

X.

Błądziłem dokoła Nidecku, nie mogąc znaleźć wyjścia, przez które się z niego wydostałem.

Tyle gwałtownych wzruszeń i niepokojów zaczęło oddziaływać na mnie; szedłem, jak błędny, zapytując się z trwogą, czy ja sam nie zwaryowałem, tak trudno było mi uwierzyć w to, com widział.

Ten człowiek, który w ciemnościach daje znak pochodnia, wyje, jak wilk, z zimną krwią idzie spełnić urojoną zbrodnię, nie pomijając żadnego szczegółu, wreszcie wymyka się z zamku i przepaści powierza tajemnicę swego występku — wszystko to uwijało mi się po głowie, jak okropna zmora.

Biegłem zadyszany, nie wiedząc, dokąd się zwrócić. Zimno stawało się coraz przenikliwsze. Drżałem, jak w febrze. Uszy miałem nawpół odmrożone, brodę okrytą szronem. Przeklinałem Sperwera, że mnie wplątał w te wszystkie okropności. Wreszcie odnalazłem bramę i zadzwoniłem z całej siły.

Było już około czwartej z rana. Knapwurst dał mi

długo czekać na siebie. W budce jego, przytykającej do bramy, było zupełnie cicho; myślałem, że śpi, i zadzwoniłem znowu.

Wtedy dziwaczna postać ukazała się raptem za bramą i krzyknęła ze złością:

— Kto tam?!

— Ja, doktor Fritz!

— A! to co innego. Zobaczmy!

Wszedł napowrót do budki, wziął latarnię, przeszedł dziedziniec, brnąc w śniegu po kolana, i, patrząc na mnie przez kraty:

— Przepraszam — przepraszam, panie doktorze — zawołał — myślałem, że pan śpi w najlepszym w wieży Hugona. Jakto, to pan dzwonił? Ach! teraz rozumiem, dlaczego Sperwer przyszedł mnie zapytać około północy, czy nikt nie wyszedł. Odpowiedziałem, że nie, i rzeczywiście nie widziałem pana.

— Ale na miłość boską otwierajże, panie Knapwurstcie! Wytłómaczysz mi to później.

— No, no, trochę cierpliwości.

I garbusek zaczął powoli otwierać bramę, a ja stałem, dzwoniąc zębami i drżąc od stóp do głów.

— Zimno być panu musi — rzekł Knapwurst, wpuszcivszy mnie na dziedziniec — a do zamku nie będzie się pan mógł dostać. Sperwer zamknął drzwi, nie wiem dlaczego — nigdy się tego nie robi, brama wystarcza. Pójdź się pan ogrzać u mnie. Nie bardzo to wspaniały pokój, raczej nora, prawdę mówiąc, ale komu zimno, ten na takie rzeczy nie zważa.

Nie odpowiadając na jego paplaninę, podążyłem za nim śpiesznie. Weszliśmy do budki i mimo zupełnego wy-

cieńczenia, w jakim się znajdowałem, malowniczy nieład tej nory zwrócił moją uwagę. W głębi było posłanie karzelka, pośrodku wielki stół dębowy, który nie wiem do prawdy, jakim sposobem dostał się tam przez małe drzwiczki, a na półkach i na ziemi wałało się mnóstwo starych pergaminów, na stole zaś leżała otwarta olbrzymia księga, oprawna w białą skórę i okuta w srebro. Wyglądało to na zbiór kronik. Wreszcie dwa fotele skórzane dopełniały umeblowania. Pomijam kałamarz, pióra, kilka fajek, rozrzuconych tu i tam, i mały piecyk z lanego żelaza, z którego od czasu do czasu wypadła snop iskier z dziwacznym syczeniem.

— Więc pan wyszedłeś wczoraj wieczorem, panie doktorze — rzekł Knapwurst, gdyśmy zasiedli wygodnie, on przed swoją księgą, a ja naprzeciw piecyka.

— Tak, dosyć wcześnie — odpowiedziałem — jakiś drwal ze Szwarcwaldy potrzebował mojej pomocy: zranił się w nogę siekierą.

Wyjaśnienie to zadowoliło garbuska. Zapalił fajeczkę, pytając:

— Pan nie palisz, panie doktorze?

— I owszem.

— Nałóż więc pan sobie którą z tych fajek. Właśnie — mówił dalej, kładąc swą długą żółtą rękę na księdze — właśnie czytałem kronikę Hertzoga, kiedyś pan zadzwonił.

Zrozumiałem teraz, dlaczego mi dał tak długo czekać.

— I kończyłeś pan rozdział? — spytałem z uśmiechem.

— Tak, panie doktorze — odpowiedział w tenże sam sposób.

Rozśmieliśmy się obaj.

— Gdybym był wiedział, że to pan, nie byłbym kończył rozdziału.

Nastąpiło krótkie milczenie.

Przyglądałem się dziwacznej powierzchowności garbuska, tym głębokim fałdom, okalającym usta, tym małym przymrużonym oczkom, patrzyłem na ten nos wkleśły i gulkowato zakończony, na czoło nieproporcjonalnie wysokie. Dopatrywałem w tej twarzy coś sokratycznego i, grzejąc się w milczeniu, zastanawiałem się nad dziwnym losem niektórych ludzi.

— Ten karzeł — mówiłem sobie — ta istota pokrzywiona, tuląca się w kącie tego starego zamczyska, jak świerszcz w głębi komina, ten Knapwurst żyje tu sam, zatopiony w swoich księgach, myśląc tylko o wiekach minionych, podczas gdy wkoło niego życie wre, kipi, ludzie krzyczą, śmieją się, klną, polują, psy szczekają, konie rża, podczas gdy wiosna, lato i zima zagląдают kolejno do jego izdebki, rozweselając, ogrzewając, budząc i usypiając naturę!... Podczas gdy tylu ludzi oddaje się namiętnościom, kocha, pragnie, nienawidzi, on niczego się nie spodziewa, niczego nie żąda. Pali fajkę i z oczyma utkwionemi w starym pergaminie marzy, zapala się do rzeczy, które już nie istnieją, lub wcale nie istniały, co na jedno wychodzi, i jest, szczęśliwy! A potem rzuca się na posłanie, myśląc, że spełnił wszystko, co od niego żądać można. O Boże! gdzież to, na dole, czy na górze Twojej drabiny znaleźć można prawdziwe pojęcie praw Twoich, zrozumienie obowiązków?

Tymczasem śnieg topniał na mojem ubraniu, ciepłe technienie kominka przejmowało mi członki. Czuję się

jakby odrodzony w tej atmosferze, przepelnionej zapachem żywicy i tytoniu.

Knapwurst położył fajkę i, kładąc znów rękę na woluminie, rzekł uroczyście:

— Patrz pan, panie doktorze, to są nasze prawa i nasi prorocy.

— Jakto, panie Knapwurście?

— Pergaminy, stare pergaminy — odparł — lubię je! Te poźółkle, nawpół stoczone przez robactwo karty, oto wszystko, co nam zostaje z dawnych czasów od Karola Wielkiego aż do dziś. Stare rody giną, stare pergaminy zostają. Gdyby nie one, w cóżby się obróciła chwala rodu Hohenstaufenów, Leiningenów, Nidecków i tylu innych? Któżby wiedział o ich tytułach, ich wielkich czynach, ich wyprawach do Ziemi Świętej, ich stosunkach, ich podbojach?... Ci dumni baronowie, ci butni książęta zginęliby w niepamięci, jakgdyby nigdy nie istnieli. Ich zamki, ich twierdze rozpadają się w gruzy. Z tego wszystkiego jedno tylko pozostaje: kroniki, historia, śpiew barbarzyńców i minnesingerów, pergamin.

Nastąpiło milczenie. Po chwili Knapwurst mówił dalej:

— A w tych czasach odległych, gdy wielcy wojownicy walczyli, zwyciężali, bili się ze sobą o lada tytuł, lub o coś jeszcze mniejszego, z jakąż pogardą musieli patrzeć na biednego skrybenta, na tego człowieka zagrzebanego w księgach, którego jedyną bronią był kałamarz u pasa i pióro! Jakże nim pomiatali, mówiąc: „Ten jest niczem, nędznym atomem, nieprzydatny do niczego, nic nie robi, ani rolę, ani orężem się nie zajmuje, podczas gdy my, odważni, opancerzeni, z włócznią w ręku, jesteśmy wszystkim“. Tak mówili to sobie, widząc, jak

biedak drżał w zimie, pocił się w lecie, pleśniał w starości. A jednak to nic, ten atom przekazał ich imiona potomności! To też ja kocham te stare pergaminy, poważam je, szanuję. Jak bluszcz, pokrywają one ruiny i nie pozwalają im rozpaść się zupełnie w gruzy i zniknąć.

Mówiąc to, Knapwurst był wzruszony, poważny, lży nawet zakreśliły mu się w oczach.

Biedny garbusek! Kochał tych, którzy się opiekowali jego praojcami. A zresztą mówił prawdę, słowa jego miały głębokie znaczenie.

Byłem zdumiony.

— Panie Knapwurstcie — rzekłem — więc pan uczyłeś się łaciny?

— Tak, panie doktorze, jestem samouczkiem — odparł nie bez pewnej próżności — nauczyłem się łaciny i greckiego ze starych gramatyk. Raz przypadkiem hrabia Nideck usłyszał jakąś cytataę łacińską z ust moich. Zdziwiło go to mocno. „Któż cię nauczył tego?“ — zapytał. — „Ja sam, panie hrabio“. Zadał mi kilka pytań. Odpowiedziałem na nie dosyć dobrze. „Do licha! — rzekł — Knapwurst umie więcej ode mnie. Zrobię go moim archiwistą“. I oddał mi klucz od archiwum. Odtąd, a jest już temu lat trzydzieści pięć, wszystko przejrzałem, wszystko przeczytałem. Czaśem hrabia, widząc mnie na drabince, zatrzymuje się i pyta: — „Co tam robisz, Knapwurstcie?“ — „Czytam archiwa rodzinne, panie hrabio“. — „I to cię zajmuje?“ — „Bardzo“. — „Tem lepiej. Gdyby nie ty, któżby wiedział o sławie Nidecków?“ I odchodzi, śmiejąc się. Robię tu, co mi się podoba.

— Więc to dobry pan, panie Knapwurstcie?

— Och, panie doktorze! co to za serce! co za cha-

rakter! — odparł, składając ręce. — Ma tylko jedną wadę.

— Jakaż to?

— Nie jest dosyć ambitny.

— Jakto?

— Tak. Mógł był sięgnąć po wszystko! Pomyśl pan tylko: hrabia i pan na Nidecku, potomek jednego z najpierwszych rodów w Niemczech! mógł zostać ministrem, feldmarszałkiem! Ale nie! od młodości zerwał z polityką; z wyjątkiem kampanii francuskiej, którą odbył na czele uzbrojonego własnym kosztem pułku, z wyjątkiem tego, wiódł zawsze życie odosobnione, ciche, zapomniany prawie, zajmując się tylko polowaniem.

Szczegóły te zaciekawiały mnie w najwyższym stopniu. Rozmowa sama z siebie kierowała się na tory, na jakie ją wprowadzić chciałem.

— Hrabia więc nie miał żadnych wielkich namiętności, panie Knapwurstcie?

— Żadnych, panie doktorze, żadnych, i to szkoda, bo wielkie namiętności przysparzają blasku znakomitym rodom. Gdy los postawi wysoko człowieka pozbawionego ambicji, to źle. Imię rodu przez niego upada i błednie. Mógłbym panu tysiące przykładów tego przytoczyć! Coby stanowiło szczęście rodziny kupieckiej, bywa zgubą znamienitych domów.

Byłem zdumiony; wszystkie moje przypuszczenia co do przeszłości hrabiego upadały.

— Jednakże, panie Knapwurstcie, hrabia Nideck doznał wielkich nieszczęść w swoim życiu.

— Jakich?

— Stracił żonę...

— Ach prawda! żonę... aniola... poślubił ją z miłości... Pochodziła z zacnej rodziny alzackiej, ale zrujnowanej przez rewolucję. Hrabina Odetta była słońcem życia hrabiego. Umarła z wycieńczenia, które ją pięć lat trawiło. Ach! próbowano wszystkiego, żeby ją uratować. Hrabia odbył z nią podróż do Włoch; wróciła stamtąd jeszcze gorzej i umarła w kilka tygodni potem. Hrabia o mało nie oszalał z rozpacz. Przez dwa lata zamykał się, nie chcąc widzieć nikogo. Konie, psy, wszystko mu się stało obojętne. Czas ukoił jego boleść. Ale coś zawsze zostaje tam — dodał garbusek, kładąc ze wzruszeniem rękę na sercu — pojmujesz pan... coś, co się krwawi... Dawne rany dokuczają przy zmianach temperatury, a dawne smutki odnawiają się także z wiosną, gdy trawa porasta na grobach, i z jesienią, gdy liście suche po ziemi szeleszczą. Hrabia nie chciał się już ożenić powtórnie; całe uczucie przelał na córkę.

— Więc to małżeństwo było zawsze szczęśliwe?

— Szczęśliwe! Było błogosławieństwem dla wszystkich.

Umilkłem. Hrabia nie popełnił, nie mógł popełnić zbrodni. Trzeba było uleźć oczywistości. Ale w takim razie ta scena nocna, te stosunki z Czarną-Zarazą, te wyrzuty sumienia, zmuszające winnych, aby we śnie przeszłość swą zdradzali, czemże to wszystko było?

Gubiłem się w domysłach.

Knapwurst zapalił znów fajkę i podał mi drugą.

— Hrabia gniewa się jednak czasem na córkę — zauważyłem.

Knapwurst drgnął i spojrział na mnie z ukosa.

— Wiem, wiem! — rzekł z niechęcią, poczem dodał ironicznie:

— Wieże Nidecku są zbyt wysokie, a potwarz za nisko lata, aby ich dosięgnąć mogła.

— Zapewne, ale niemniej tak jest.

— Ha, cóż pan chcesz? to już jego mania, skutek choroby nieszczęsnej. Ale gdy go złe ominie, całe przywiązanie do panny Odili powraca. To zadziwiające, panie doktorze! dwudziestoletni kochanek nie mógłby być czulszy, usłużniejszy. Ta dziewczyna jest jego radością, dumą. Wyobraź pan sobie, że często wsiada na koń, aby jej przywieźć jakiś stroik, kwiatków lub coś podobnego. Jedzie sam i przynosi jej te rzeczy jakby w tryumfie, trąbiąc w róg. Nikomuby takiej posyłki nie powierzył, nawet Sperwerowi, którego tak lubi. To też panna Odila nie śmie nawet przed nim objawić jakiego życzenia, z obawy tych szaleństw. Wreszcie cóż panu o nim powiedzieć mogę? Hrabia Nideck jest najzacniejszym człowiekiem, najtkliwszym ojcem, najlepszym panem, o jakim zamarzyć można... Tępiciele zwierzyny, naprzykład, niszczą mu lasy, ojciec jego, hrabia Ludwik, kazał ich wieszać bez miłosierdzia; on im pobłaża, bierze ich nawet w służbę do siebie. Ot, choćby Sperwer: gdyby hrabia Ludwik żył, znaku-by już z niego nie było, a tymczasem jest pierwszym dojeżdżaczem hrabiego.

Jednym słowem, wszystko sprzeciwiało się moim podejrzeniom. Ukryłem twarz w dłoniach i zapadłem w głęboką zadumę.

Knapwurst, sądząc, że śpię, wziął się znów do czy-

tania. Dzień szarawy zaglądał już w okienko budki. Lampa dogasała. Słysząc było budzący się ruch w zamku.

Nagle szybkie kroki rozległy się na podwórzu. Drzwi otworzyły się raptownie i na progu stanął Sperwer.

XI.

Bladość Sperwera i blask jego oczu zdradzał, że coś nowego zaszło; był jednak spokojny i moja obecność u Knapwursta nie zdawała się go zadziwiać.

— Franku — rzekł krótko — przychodzę po ciebie.

Ledwośmy wyszli z budki, ujął mnie pod ramię i pościągnął pośpiesznie ku zamkowi.

— Panna Odila chce z tobą mówić — rzekł półgłosem.

— Panna Odila! Czy chora?

— Nie, zdrowa zupełnie, ale dzieje się coś nadzwyczajnego. Wyobraź sobie, w nocy, około pierwszej, widząc, że hrabia lada chwila duszę wyzionie, idę obudzić hrabiankę; ale, gdym miał do jej drzwi zapukać, głupio mi się na sercu zrobiło i myślę: „Po co ją martwić? i tak dość wczesnie dowie się o swoim nieszczęściu. A potem, budzić ją tak w nocy, osłabioną i zgnębioną, toby ją dobilo!“ Namyslałem się może z dziesięć minut; wreszcie biorę całą odpowiedzialność na siebie i wracam do pokoju hrabiego. Ani żywej duszy!... To niepodobna!

człowiek konający!... Wybiegam na korytarz, jak szalony. Nikogo! Pędzę do wielkiej galeryi. Także nikogo! Straciłem całkiem głowę i wracam pod drzwi panny Odili. Tym razem pukam. Panna Odila otwiera, wołając: „Ojciec umarł?“ — „Nie, pani“. — „Znikł?“ — „Tak, pani... Wyszedłem na chwilę... Kiedym wrócił...“ — „A doktor gdzie jest?“ — „W wieży Hugona?“ Nie powiedziała już nic więcej. Włożyła szlafroczek, wzięła lampę i wyszła. Ja zostałem. Po kwadransie wraca, okryta śniegiem i blada, blada, aż litość brała. Stawia lampę i mówi, patrząc na mnie: „To ty umieściłeś doktora w wieży Hugona?“ — „Tak, pani“. — „Nieszczęśliwy! nie zrozumiesz nigdy, ileś tem złego wyrządził“. Chciałem się usprawiedliwiać: „To dosyć — rzekła — idź pozamykaj wszystkie drzwi i połóż się. Będę czuwała sama. Jutro rano pójdziesz po doktora do Knapwurstu i przyprowadzisz mi go. Tylko bez hałasu! nie nie widziałeś!... nie wiesz o niczem!“

— To wszystko, Sperwerze?

Schylił głowę z powagą.

— A hrabia?

— Wrócił... Znacznie zdrowszy.

W tej chwili weszliśmy do przedpokoju.

Gedeon zapukał zlekka do drzwi, poczem otworzył je, oznajmiając:

— Pan doktor.

Postąpiłem parę kroków i znalazłem się w obecności Odili.

Sperwer cofnął się, zamykając drzwi za sobą. Dziwne wrażenie wywarł na mnie widok hrabianki,

stojącej w długiej czarnej aksamitnej sukni przy fotelu z ręką opartą o poręcz, bladej, spokojnej i dumnej.

— Panie doktorze — rzekła, wskazując mi krzesło — zechciej usiąść; pragnę pomówić z panem o rzeczach ważnych.

Usłuchałem w milczeniu.

Ona siadła, także zbierając, zda się, myśli.

— Fatalność — ozwała się po chwili, utkwivszy we mnie swe wielkie błękitne oczy — fatalność czy Opatrzność, nie wiem jeszcze która z tych dwóch, uczyniła panna świadkiem tajemnicy, w którą jest wmieszany honor mojej rodziny.

Odila wiedziała o wszystkim!

Byłem zdumiony.

— Pani — wybelkotałem — zechciej wierzyć, że przypadek tylko.

— Przystań pan — przerwała — wiem wszystko! To okropne!

Poczem rozzierającym głosem wykrzyknęła:

— Mój ojciec nie jest występny!

— Wiem o tem, pani — rzekłem wzruszony — znam życie hrabiego, wiem, że jest czyste, piękne i szlachetne.

Odila uniosła się nawpół z siedzenia, jakgdyby chcąc bronić ojca przeciw ubliżającym mu przypuszczeniom, ale, usłyszawszy, że ja sam stoję po jego stronie, ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

— Niech pana Bóg błogosławi — szepnęła — niech pana Bóg błogosławi. Byłabym umarła na myśl, że jakieś podejrzenie...

— O pani! któżby brał za rzeczywistość czcze złudzenie lunatyzmu?

— To prawda, i ja to sobie mówiłam, ale pozory... lękałam się... przebacz mi pan. Powinłam była pamiętać, że pan jesteś szlachetnym człowiekiem.

— Na Boga, pani, uspokój się.

— Nie — rzekła — daj mi się pan wyplakać. Te łzy przyniosą mi ulgę... Wycierpiałam tyle przez te lat dzie sięć!... ach! tyle wycierpiałam... Tajemnica, którą tak długo w sobie tałam... zabijała mnie... byłabym umarła, jak moja matka. Bóg się nade mną zlitował... powierzył ją panu w połowie... pozwól pan, abym ci powiedziała resztę...

Nie mogła mówić dalej, łkania głos jej tłumity.

Takimi są natury dumne i nerwowe. Zwyciężywszy cierpienie, zamknąwszy je w głębi duszy, idą przez życie, jeżeli nie szczęśliwe, to przynajmniej obojętne na pozor; oko badacza nawet omylić się na nich może; ale niech przyjdzie jakieś nieprzewidziane wstrząśnienie, wtedy wszystko znika. Zwyciężony nieprzyjaciół podnosi się jeszcze straszniejszy, niż przed porażką, wstrząsa z wściekłością swoim więzieniem, i wtedy łkania rozrywają piersi, a łzy, długo wstrzymywane, płyną gwałtownym potokiem.

Taką była Odila!

Wreszcie podniosła głowę, otarła oczy i, oparłszy się łokciem o poręcz fotelu, z policzkiem na dłoni, z oczyma utkwionemi w portret, zaczęła mówić głosem wolnym i melancholijnym:

— Gdy sięgam okiem w przeszłość, gdy cofam się w moje dziecięce lata, widzę postać wyniosłą, bladą, milczącą. To moja matka! Była młoda wtedy, miała trzy-

dzieści lat zaledwie, a jednak wyglądała na pięćdziesiąt. Siwe włosy okalały jej czoło zamysłone. Zapadłe policzki, profil surowy, usta zaciśnięte nadawały jej twarzy wyraz dziwny, łączący w sobie dumę z boleścią. Nie było nic młodego w tej trzydziestoletniej kobiecie, nic, prócz wysmukłej kibici, oczu błyszczących i głosu słodkiego i czystego, jak sen dziecięcia. Godzinami całemi przechadzała się po tej sali, z pochyłą głową. A ja biegałam szczęśliwa, o tak, szczęśliwa! dokoła niej, nie wiedząc, że moja matka była smutna, nie pojmując, jaka głęboka melancholia kryła się pod tem czołem, pooranem zmarszczkami. Przeszłość była mi obcą, terażniejszość... to był dla mnie śmiech i wesołość, a przyszłość... och! przyszłość to były zabawy dnia jutrzejszego.

Odila uśmiechnęła się z goryczą i mówiła dalej:

— Czasem, biegając, potrafiłam się o matkę. Wtedy ona przystawała i, widząc mnie u swoich stóp, schylała się z wolna, całując mnie w czoło ze smutnym uśmiechem, poczem ciągnęła dalej przerwana przechadzkę. Odtąd, ilekroć chcę wywołać w duszy wspomnienie lat pierwszych, ta blada, wysoka kobieta, ukazuje mi się jako obraz cierpienia. Oto ona — rzekła, wskazując mi portret, wiszący na ścianie — oto ona, taka, jaką ją zrobiła, nie choroba, jak mniema mój ojciec, ale ta straszna tajemnica. Patrz pan. Odwróciłem się i, spojrzawszy na portret, który mi wskazywała Odila, zadrżałem.

Wyobraźcie sobie twarz owalną, bladą, nacechowaną zimną sztywnością śmierci, a w tej twarzy dwoje oczu czarnych, palających, zapatrzonych gdzieś w dal nieruchomie.

Nastąpiło krótkie milczenie.

— Ile ta kobieta cierpieć musiała — pomyślałem i serce mi się ścisnęło.

— Nie wiem, jakim sposobem matka moja zrobiła to straszne odkrycie — mówiła dalej Odila — ale znała tajemniczy wpływ Czarnej-Zarazy, schadzki w wieży Hugona... wszystko! Nie wątpiła o niewinności ojca... o nie! tylko gasła z wolna, jak ja gasnę.

Ukryłem twarz w dłoniach... płakałem.

— Pewnej nocy — miałam wówczas lat dziesięć — matka moja, która tylko siłą woli się krzepiła, była prawie konająca. Spałam. Było to w zimie. Nagle uczułam, że dłoń chłodna chwyta mnie za ramię; patrzę: przede mną stoi kobieta ze świecznikiem w jednej ręce. Suknia jej pokryta była śniegiem; dreszcz konwulsyjny przebiegał członki, a oczy błyszczały posepnym ogniem z poza rozpuszczonych siwych włosów. To była moja matka! „Odilo, dziecko moje — rzekła — wstań i ubieraj się; potrzeba, abyś wszystko wiedziała“. Ubrałam się drżąc ze strachu. Wtedy matka pociągnęła mnie na szaniec, ku wieży Hugona. Stanęliśmy nad otwartem wyjściem podziemnem. „Ojciec twój wyjdzie stąd — rzekła matka, wskazując mi wieżę — wyjdzie z wilczycą. Nie drżij, nie może cię zobaczyć“. I w istocie, ojciec, obarczony straszonym swym ciężarem, wyszedł ze starą. Matka, mając mnie na ręku, poszła za nimi. Ukazała mi scenę na Altenbergu. „Patrz, dziecko — wołała — patrz! tak być musi... bo ja umieram. Ty przechowasz tę tajemnicę. Będziesz sama czuwała nad ojcem, sama, sama... czy słyszysz? Chodzi tu o honor twojej rodziny“. W dwa tygodnie potem matka umarła, przekazując mi dzieło swoje do dokończenia, przykład do naśladowania. Wypełniłam świę-

cie jej wolę... och! kosztem jakichże poświęceń! Widziałeś pan; musiałam być nieposłuszną ojcu, zakrwawić mu serce. Wyjść za mąż znaczyłoby to, co wprowadzić obcego pomiędzy nas, zdradzić tajemnicę naszego rodu. Oparłam się temu. Nikt w Nidecku nie wie o lunatyzmie hrabiego i gdyby nie wczorajszy kryzys, który mnie złamał i nie pozwolił mi samej nad nim czuwać, byłam dotąd jedyną posiadaczką tajemnicy. Bóg zrzucił inaczej, oddał honor rodziny naszej w ręce pana. Mogłabym żądać od pana uroczystej przysięgi, że nie zdradzisz nigdy tego, coś widział tej nocy. Miałabym do tego prawo...

— Pani — zawołałem, wstając — jestem gotów...

— Nie, panie — przerwała z godnością — nie, nie wyrządę panu tej zniewagi. Zresztą przysięgi nie wiążą serc nikczemnych, a słowo uczciwego człowieka wystarczy. Wierzę, że pan dochowasz tej tajemnicy. Dochowasz jej, bo to jest twoim obowiązkiem! Ale ja żądam od pana czegoś więcej i dlatego powiedziałam panu wszystko.

Mówiąc to, powstała z wolna.

— Doktorze — rzekła głosem, który mnie przejął do głębi — siły mnie opuszczają, upadam pod tym ciężarem. Potrzebuję rady, pomocy, przyjaciela: chcesz pan być tym przyjacielem?

— Pani — odparłem wzruszony — z wdzięcznością przyjmuję ten tytuł i nie umiem wypowiedzieć, jak dalece dumny z niego jestem, jednakże pozwól mi pani położyć tu jeden warunek.

— Mów pan.

— Że przyjmę ten tytuł wraz ze wszystkimi powinnościami, jakie na mnie wkłada.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Tajemnica ciąży nad waszą rodziną, pani. Tę tajemnicę potrzeba zbadać koniecznie: potrzeba schwycić Czarną-Zarazę, dowiedzieć się, kto ona, skąd pochodzi, czego chce.

— Och! — rzekła Odila, wstrząsając głową — to niepodobna.

— Kto wie, pani? Opatrzność miała może swój cel w tem, gdy natchnęła Sperwera myślą sprowadzenia mnie z Fryburga.

— Masz pan słuszność — odparła poważnie. — Opatrzność nie niepotrzebnego nie czyni. Postępuj pan, jak ci serce wskaże. Ja z góry wszystko potwierdzam.

Poniosłem do ust podaną mi rękę Odili i wyszedłem, pełen uwielbienia dla tej istoty tak wątlej, a tak silnej w nieszczęściu. Nic piękniejszego nad szlachetnie spełniony obowiązek.

XII.

W godzinę po tej rozmowie, Sperwer i ja wyjeżdżaliśmy cwałem z Nidecku.

Dojeżdżacz, pochylony nad karkiem swego rumaka, zagrzewał go ustawicznie głosem i ostrogami do coraz pośpieszniejszej jazdy.

Pędził tak szybko, że meklemburczyk jego z rozwianą grzywą i wyprostowanemi nogami zdawał się nieruchomym: literalnie przerzynał powietrze. Co do mojego ardeńczyka, ten także prawie ziemi nie dotykał.

Lieverlé nam towarzyszył lotem strzały.

Zostawiliśmy już daleko poza sobą wieże Nidecku, i Sperwer wyprzedził mnie, jak zwykle, gdy, wstrzymując konia, zawolałem:

— Mój przyjacielu, stój! Nim pojedziemy dalej, musimy się naradzić.

Sperwer zwrócił się ku mnie.

— Powiedz tylko, Franku, czy się zwrócić na prawo, czy na lewo?

— Nie, zbliż się, potrzeba, abys wiedział o celu naszej podróży. Krótko mówiąc, chodzi o schwytanie starej.

Żółta i długa twarz starego myśliwca zajaśniała radością; oczy mu błysnęły.

— A! a! — zawołał — wiedziałem, że się na tem skończyć musi.

I dotknął strzelby, przewieszonej przez ramię.

Ten ruch znaczący kazał mi się mieć na baczności.

— Jeszcze chwilę, Sperwerze! nie chodzi o zabicie Czarnej-Zarazy, ale o schwytanie jej żywcem.

— Żywcem?

— Bezwarunkowo; a żeby ci oszczędzić wyrzutów sumienia, muszę cię uprzedzić, że losy starej związane są z losami hrabiego. Tak więc kula, któraby ją dosięgła, zabiłaby jednocześnie i twego pana.

Sperwer otworzył usta osłupiały.

— Czy to prawda, Franku?

— Prawda.

Nastąpiło długie milczenie. Konie nasze, Fox i Reppel, kiwały głowami i grzebały śnieg, jakgdyby sobie winszując wyprawy. Lieverlé ziewał z niecierpliwości, wyginając swój długi i wązki grzbiet, jak jaszczurka; Sperwer siedział na siodle nieruchomy, z ręką na kolbie. Nagle przesunął strzelbę na plecy, wołając:

— A więc starajmy się schwycić ją żywcem, tę Zarazę. Włożymy nawet rękawiczki, jeżeli potrzeba; ale nie tak to łatwo, jak ci się zdaje, Franku.

I, wyciągnawszy rękę ku górom, rozwijającym się amfiteatralnie przed nami, dodał:

— Patrz: to Altenberg, Schneeberg, Oxenhorn, Birkenwald, Rheethal, Behrenkopf, a gdy pojedziemy tro-

chę wyżej, zobaczymy pięćdziesiąt podobnych szczytów, ginących aż w płaszczyznach Palatynatu; pomiędzy nimi są skały, wąwozy, parowy, strumienie i lasy, ciągle lasy: tu sosnowe, dalej bukowe, jeszcze dalej dębowe. Stara przechadza się wśród tego wszystkiego, ma dobre oko, dobre nogi, zwęszy cię o milę. Złapże ją, jeśliś mądry.

— Gdyby to było łatwe, gdzieżby była zasługa? Dlatego też ciebie nie kogo innego wziąłem sobie do pomocy.

— Bardzo to piękne, co mi śpiewasz, Franku. Gdybyśmy chociaż na ślad jaki trafili, to nie mówię, że przy cierpliwości i odwadze...

— O ślad się nie turbuj; ja to biorę na siebie.

— Ty?

— Ja sam.

— Znasz się na tem?

— Dlaczegożby nie?

— A! skoro tak, skoro nie wątpisz o niczem, skoro wiesz więcej ode mnie, to co innego... jedź naprzód.

Widoczne było, że poczciwy Gedeon czuł się obrażonym zuchwalstwem, z jakim wdierałem się w jego atrybucye. To też nie dałem sobie powtarzać dwa razy i, śmiejąc się ukradkiem, zwróciłem konia na lewo, pewny, że trafię na ślad starej, która z podziemnego przejścia musiała przebyć płaszczyznę, aby się dostać w góry.

Sperwer jechał za mną, pogwizdując z udaną obojętnością.

— No, no — mruczał — szukajmyż śladów wilczycy na otwartem polu! kto inny byłby pomyślał, że musiała iść skrajem lasu, jak to ma we zwyczaj. Ale widać, że

spaceruje sobie teraz na prawo i na lewo z rękami w kieszeniach, jak obywatel z Fryburga.

Udawalem, że tego nie słyszę; nagle Gedeon krzyknął z podziwienia i, patrząc na mnie przenikliwie:

— Franku — zawołał — wiesz więcej, niż powiadasz.

— Jakto, Gedeonie?

— A tak — ten ślad, którego jabym tydzień szukał, ty go znajdziesz od razu. To nienaturalne!

— Gdzież go widzisz?

— No, no, nie udawaj i nie patrz na własne nogi.

I, wskazując mi w dali białą, ledwo widoczną smugę, dodał:

— Oto go masz!

Popędziliśmy galopem, tym razem Gedeon na przodzie, i w dwie minuty potem zeskakiwaliśmy z koni.

Był to istotnie ślad Czarnej-Zarazy.

— Ciekawy jestem — zawołał Sperwer, krzyżując ręce na piersiach — skąd u diabła ten ślad pochodzi.

— Niech cię to nie kłopotuje.

— Masz rację, Franku, nie zważaj na moją gadanię; mówię często tak na wiatr. To główna, gdzie nas ten ślad zaprowadził.

I stary dojeżdżacz przykląkł na śniegu.

— Ślad jest świeży — rzekł po chwili — zrobiony tej nocy. To dziwne, Franku! podczas ostatniego ataku hrabiego stara krążyła dokoła zamku.

Poczem, przypatrując się jeszcze uważniej, dodał:

— Zrobiony był o trzeciej lub czwartej z rana.

— Skąd to wiesz?

— Ślad jest czysty, a dokoła niego śnieg świeżo naprószony leży. Prószyło wczoraj o północy, gdy wy-

szedł drzwi zamykać, niema śniegu na śladzie, a więc musiał być zrobiony później.

— Słuszna uwaga, Sperwerze; ale mógł być zrobiony i znacznie później, o ósmej lub dziewiątej na przykład.

— Nie, patrz, na śladzie jest gołoledź. Mgła pada tylko o świcie. Stara więc przeszła tędy po śniegu a przed gołoledzią, a więc pomiędzy trzecią a czwartą z rana.

Byłem zdumiony przenikliwością Sperwera.

Ten podniósł się, ręką o rękę dla otrzepania śniegu uderzył i, patrząc na mnie z zadumą, dodał, jakgdyby do siebie samego:

— Przypuśćmy, najpóźniej o piątej z rana. Jest już południe, nieprawdaż, Franku?

— Trzy kwadranse na dwunastą.

— Dobrze, stara ma siedm godzin przewagi nad nami. Musimy krok w krok postępować jej śladem. Przypuściwszy, że będzie szła ciągle, dopędzimy ją na koniach o siódmej lub ósmej wieczorem. W drogę, Franku, w drogę!

Popędziliśmy za śladami, które prowadziły nas prosto ku góróm.

Galopując, Sperwer mówił do mnie:

— Gdyby tak na nasze szczęście Zaraza weszła w jaką dziurę, żeby sobie odpocząć, schwytalibyśmy ją przed zmierzchem.

— Miejmy nadzieję, Gedeonie.

— O! nie rachuj na to, nie rachuj! Ta przekłeta Wilczyca jest w ciągłym ruchu, przebiega wszystkie wąwozy Szwarewaldu bez odpoczynku. Nie powinniśmy się lądzić. Jeżeli wypadkiem zatrzymała się gdzie, tem le-

piej, będziemy radzi; a jeżeli wciąż idzie, niech nas to nie zniechęca. Hop! hop! Fox!

Dziwne to położenie człowieka, polującego na swego bliźniego, bo bądź co bądź ta nieszczęśliwa była istotą do nas podobną; miała, jak my, duszę nieśmiertelną, czuła, myślała; zastanawiała się, jak my; z drugiej strony prawda, że przewrotne, dziwne popędy zbliżały ją do wilczycy, i że straszna jakaś tajemnica ciążyła nad jej losem. Życie koczujące zatarło w niej zapewne mniej więcej cechy ludzkości; w każdym razie jednak nic na świecie nie upoważniało nas do przywłaszczania sobie nad nią praw człowieka nad zwierzęciem.

A przecież dziki jakiś zapał pchał nas naprzód; ja sam czułem kipiącą krew w żyłach i postanowiłem nie cofnąć się przed żadnym środkiem schwywania tej dziwacznej istoty.

Polowanie na wilka lub dzika nie byłoby mnie roznamiętniło do tego stopnia.

Śnieg unosił się w białych tumanach za nami, często kawałek lodu, oderwany podkową, przelatywał ze świstem koło naszych uszu.

Sperwer, to chwytający ustami powietrze, to z okiem utkwionem w ślady, przypominał mi tych sławnych Baszkirów, których w dzieciństwie, przechodzących przez Niemcy widziałem, a jego koń chudy, wielki, muskularny, z rozwianą grzywą i giętkim, jak u charta, tułowiem, uzupełniał złudzenie. Lieverlé w uniesieniu podskakiwał na wysokość głów naszych koni, a ja mimowoli drżałem na myśl o jego spotkaniu ze starą: był zdolny rozszarpać ją, nimby krzyknąć zdażyła.

Czarna-Zaraza sprawiała nam kłopot nielada.

Na każdym wzgórk, na każdym zakręcie widoczne było, że się starała zmylić ślady.

— Jeszcze tu to nic — wołał Sperwer — widzi się z daleka — ale w lesie, to dopiero będzie taniec. Patrzej ją, kanalia!... jak to potrafi człowieka oszukać! Ot tutaj zatarła zupełnie kroki, a tam znowu niecnota brodziła sobie w rzeżusze, żeby się do lasu dostać!

Dosięgliśmy skraju jodłowego boru. Śnieg w tego rodzaju lasach leży tylko miejscami, tam, gdzie nie sięgają gałęzie. Było to trudne przejście. Sperwer zsiadł z konia, ażeby lepiej widzieć, i kazał mi się usunąć na lewo, by mu mój cień nie przeszkadzał.

Były tam całe place zasłane zeschniętymi liśćmi i temi gnąciami się gałązkami jedliny, na których ślady nie zostają. To też Sperwer odnajdywał swoją nić Aryadny tam tylko, gdzie śnieg przypadł.

Potrzeba nam było całej godziny do wydostania się z tego gąszczu.

Stary myśliwiec przygryzał węża, a kiedy chciałem się odezwać, przerywał mi szorstko, wołając:

— Nie mów, przeszkadzasz mi!

Zstąpiliśmy wreszcie w dolinę na lewo; tam Ge-deon, ukazując mi ślad starej na pochyłości, rzekł:

— Ten już nie jest mylny. Możemy śmiało iść za nim.

— Skąd to wnosisz?

— Stąd, że ta dyablica ma zwyczaj, kiedy chce ślad zmylić, zrobić kilka kroków w jedną stronę, poczem wraca po tych samych śladach, robi znow kilka kroków w drugą stronę i skacze gdzie w trzecią, ale jak myśli, że jest dobrze zabezpieczona, daje pokój tym psim figlom. A co? nie powiedziałem? Przeszła tutaj chyłkiem, jak dzik, pod

krzakami. Teraz już jej nie stracimy. Możemy zapalić fajki.

Zatrzymaliśmy konie i poczciwy Gedeon, którego oblicze rozpromieniać się zaczęło, zawołał z uniesieniem, patrząc na mnie:

— Franku! to będzie może jeden z najpiękniejszych dni w mojem życiu. Jeżeli złapiemy starą, przytroczę ją do siodła, jak tlómoczek.

— Jedno mnie tylko martwi.

— Cóż takiego?

— Że zapomniałem wziąć trąbki. Chciałbym tak zadać z tryumfem, zbliżając się do Nidecku. Ha! ha! ha!

Zapalił fajkę i pojechaliśmy dalej.

Ślady Wilczycy wiodły nas teraz po wyniosłości tak stromej, że musieliśmy kilka razy zsiadać i prowadzić konie za uzdę.

— Masz tobie, zwraca się na prawo — rzekł Sperwer — tam góry są tak śpiczaste, że chyba jeden z nas będzie musiał potrzymać konie, a druga wdrapie się na szczyt, żeby się spuścić na dół. Co u dyabła, już się ściemnia!

Otaczał nas wtedy krajobraz imponującej wspaniałości; olbrzymie pokryte lodem skały wznosiły tu i owdzie swe śpiczaste grzbiety, stercząc, jak szkielety okrętów, na oceanie śniegu. Nic równie posepnego, jak zimowy krajobraz w górach: wąwozy, doliny, zarośla, połyskujące szronem, tchną dziwnym jakimś smutkiem i opuszczeniem. A cisza — tak głęboka, że słyhać szmer liścia, zsuwającego się po stwardniałym śniegu, i szelest spadającej gałązki — ta cisza ciąży nam i przejmuje duszę poczuciem bezmiernej nicości.

Jakże wątła i chwiejna jest istność człowieka! Dwie zimy jedna po drugiej, a życie zniknie z powierzchni naszego globu.

Od czasu do czasu któryś z nas uczuwał potrzebę odezwania się, choćby tylko dlatego, żeby własny głos usłyszeć, żeby powiedzieć:

— Brrr! jakie psie zimno!

Albo:

— No, no, już może nie daleko.

— Lieverlé, trzymaj się ostro!

Na nieszczęście konie nasze zaczynały się męczyć; nie rżały już, jak na wyjezdnie, i zapadały po piersi w śniegu.

A przytem kręte wąwozy Szwarewaldu ciągnęły się do nieskończoności.

Stara lubiła widocznie te miejsca ustronne: tu okrążyła opuszczoną chatę węglarza, tam rwała korzonki, na omszałych skałach rosnące, owdzie usiadła sobie pod drzewem i to niedawno, może przed paru godzinami, bo ślady były zupełnie świeże; odwaga więc nasza i otucha rosły. Ale zmrok zapadał coraz gęstszy.

Rzecz dziwna! od wyjazdu z Nidecku nie spotkaliśmy ani żywej duszy. W tej porze samotność Szwarewaldu jest podobna do samotności stepów Ameryki Północnej.

O piątej noc już była zupełna. Sperwer zatrzymał konia i rzekł:

— Wyjechaliśmy dwie godziny za późno. Stara zawiele nas wyprzedziła. Za dziesięć minut będzie już ciemno, jak w rogu. Musimy więc zejść w Dolinę Skalistą, o jakiej kwadrans drogi stąd, rozpalić tam dobry ogień, przekąsić i wypić. Jak tylko księżyc wzejdzie, pojedziemy

dalej, a jeżeli stara nie jest wcielonym dyablem, założę się, że znajdziem ją gdzie pod drzewem nieżywą, bo niepodobna, aby istota ludzka mogła na taki czas takie utrudzenie przetrzymać. Sam Sebałt, który ma najdzielniejsze nogi w całym Szwarzwaldzie, nie dokazałby tej sztuki. Cóż ty na to, Franku?

— Podzielał twoje zdanie. Waryat chyba mógłby inaczej postąpić, a przytem umieram z głodu.

— A zatem w drogę!

Sperwer wyprzedził mnie i skierował się w wązki parów, pomiędzy dwoma szeregami śpiczastych skał. Gałęzie jodeł plątały się ponad naszymi głowami; u stóp naszych wilo się stężałe prawie łożysko strumienia, a od czasu do czasu słaby blask, zabłąkany w te głębokości, odbijał się w jego martwej powierzchni.

Było tak ciemno, żeśmy prawie koni naszych dojrzeć nie mogli, słyszeliśmy tylko ich stapania po oślizgłych kamykach i echa tych dźwięków, odbijające się od skał; przed nami tylko w głębi błękitniał jakiś punkcik, rosnący w miarę, jakieśmy się ku niemu posuwali; było to wyjście z wąwozu.

— Franku — rzekł Sperwer — jesteśmy teraz w łożysku wodospadu Tunkelbach. Jest to najdziksz y wąwóz w całym Szwarzwaldzie, kończący się kotłina, zwaną Kociołkiem Wielkiego Gueularda. Na wiosnę, w porze topnienia śniegów, Tunkelbach wypada tamtędy z wysokości dwustu stóp. Harmider wtedy jest straszny. Woda tryska i spada deszczem na otaczające góry. Często nawet zalewa Dolinę Skalistą. Ale teraz sucho tam być musi, jak w solniczce, i będziemy mogli rozpalić dobry ogień.

Śluchając Gedeona, poglądałem tu na ten ciemny

wąwóz i mówiłem sobie, że instynkt zwierząt dzikich, który im każe szukać takich jaskiń, zdala od wszystkiego, co jasne i wesołe, podobny jest do wyrzutów sumienia. W istocie, istoty, żyjące na otwartem powietrzu: koza dzika, skacząca po skałach, koń, galopujący po równinach, pies, który się lasi panu, i ptak, co się kapie w słońcu — wszystkie te zwierzęta tchną wesołością i szczęściem, wszystkie witają jutrzeńkę radosnym okrzykiem i podskokami. Jeleń, beczący pod cieniem drzew wielkich na zielonej murawie, ma w sobie coś poetycznego, jak ustronie, które wybiera; dzik — coś szorstkiego, jak nieprzebyte gąszcza, w których się zagłębia, orzeł coś dumnego, rzeźkiego, jak jego śpiczaste skały, lew coś majestatycznego, jak wyniosłe sklepienia jego jaskini; ale wilk, lis, kuna, te szukają ciemności... strach im towarzyszy!

Dumałem jeszcze nad tem i czułem już powiew ostrego powietrza na twarzy, bo zbliżaliśmy się do wyjścia, gdy nagle czerwony odbłask przesunął się po skale o sto stóp nad nami, ozłacając ciemną zielen jodeł i roziskrzając na nich girlandy szronu.

— Ha! — szepnął Sperwer głosem stłumionym — trzymamy starą!

Serce zabiło mi mocno; przysunęliśmy się do siebie.

Pies warczał głucho.

— A nie może nam uciec? — spytałem.

— Nie sposób. Wpadła, jak mysz w pułapkę. Z Kociołka Wielkiego Gueularda niema innego wyjścia, tylko to; a dokoła skały na dwieście stóp wysokości Ha! ha! mam cię, stara czarownico!

Zeskoczył z konia w zamarzłą wodę, oddając mi eu-gle do trzymania. Nagle drgnąłem. Usłyszałem chrzęst

odwodzonego kurka. Ten suchy odgłos przeniknął mié do głébi:

— Sperwerze! co chcesz uczynić?

— Nie bój się, to tylko tak dla postrachu.

— No, to dobrze. Ale pamiętaj, com ci powiedział: kula, która ją dosięgnie, zabije jednocześnie i hrabiego.

— Bądź spokojny.

Oddalił się, nie zważając na dalsze przestrogi. Słyszałem, jak stapał po rozmiękłym gdzieniegdzie gruncie, a po niejakej chwili zobaczyłem wysoką jego postać, rysującą się czarno na błękitnawem tle wyjścia z wąwozu. Stał tam z pięć minut nieruchomy. Ja tymczasem zbliżałem się zwolna i ostrożnie. Kiedy się odwrócił, dzieliło nas zaledwie parę kroków.

— Cyt! — szepnął tajemniczo. — Patrzaj!

Wtedy w głébi kotliny zobaczyłem suchy ogień, strzelający w złotych skrętach ku górze, a przy ogniu siedzącego mężczyznę, w którym po stroju poznałem barona Zimmer-Blouderica. Siedział nieruchomy, z czołem opartem na ręce—pograżony w myślach. Za nim postać jakaś czarna leżała na ziemi, a dalej koń jego, nawpół niktący w cieniu, patrzył na nas bystrem okiem, strzygąc uszyna i roztwierając chrapy.

Byłem zdumiony.

Jakim sposobem baron Zimmer znajdował się tu o tej porze?... Co tu robi?... Czy się zabłąkał?

Najsprzeczniejsze przypuszczenia krążyły mi po głowie i nie wiedziałem jakiemu dać wiarę, gdy koń barona rzeć zaczął. To wyrwało z zadumy jego pana.

— Co ci jest, Donnerze? — rzekł, podnosząc głowę.

Poczem z kolei spojrział w naszą stronę szeroko rozwartemi oczyma.

Ta głowa blada o śniadych konturach, wązkich wargach i czarnych zsuniętych brwiach, pomiędzy któremi rysowała się prostopadła, przecinająca czoło bróza, byłaby mnie w każdym innym razie przejęła uwielbieniem; ale wtedy opanowało mnie jakieś złowrogie przecucie i dziwny niepokój, który wszystkie moje władze pochłonał.

Nagle młodzieniec wykrzyknął:

— Kto idzie?

— Ja, panie baronie — odparł Gedeon, posuwając się naprzód — ja, Sperwer, dojeżdżacz hrabiego Nidecka.

Błyskawica zajaśniała w oczach barona, ale ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy. Wstał, nasuwając płaszcz na ramiona.

Przyciągnąłem ku sobie konie i psa, który nagle zaczął wyć żałośnie.

Któż jest wolny od obaw zabobonnych? Wycie Lieverlé'go przejęło mnie strachem, dreszcz zimny przebiegł mi członki.

Sperwer i baron stali na pięćdziesiąt kroków od siebie: pierwszy u wnijscia z karabinem na ramieniu, drugi na platformie zewnętrznej z podniesioną głową i dumem wejrzeniem.

— Czego chcecie? — zapytał młodzieniec ostro.

— Szukamy kobiety — odparł Sperwer — kobiety, która co rok włóczy się dokoła zamku Nideck. Mamy rozkaz zatrzymania jej.

— Czy się dopuściła kradzieży?

— Nie.

— Zabiła kogo?

— Nie.

— A więc czego od niej chcecie? Jakiem prawem ją ścigacie?

Sperwer wyprostował się i, utkwivszy swe szare oczy w twarz barona:

— A pan jakim prawem ją sobie wziął? — zapytał z dziwnym uśmiechem — bo ona tu jest... widzę ją za panem. Jakiem prawem mieszasz się pan w nasze sprawy?... Czy pan nie wiesz, że jesteśmy na gruntach Nidecku i możemy sobie wymierzyć sprawiedliwość?

Młodzieniec poblądł i odpowiedział szorstko:

— Nie potrzebuję się przed wami tłumaczyć.

— Strzeż się pan — powiódł Sperwer — przychodzę ze słowami pokoju i zgody. Działam w imieniu hrabiego Jeri-Hansa, jestem w swoim prawie, a pan mi źle odpowiadasz.

— W swoim prawie? — powtórzył młodzieniec z goryczą. — Nie mów mi o swoim prawie, bo mnie zmusisz, abym ci moje powiedział.

— A więc powiedz je pan! — wykrzyknął stary myśliwiec, którego nos zakrzywił się z gniewu.

— Nie — odparł baron — nie powiem nic, a ty tu nie wejdiesz.

— Zobaczmy! — rzekł Sperwer, postępując naprzód.

Młody człowiek dobył kordelasa. Widząc to, chciałem się rzucić pomiędzy nich. Na nieszczęście, pies, którego trzymałem za obrozę, wyrwał mi się, przewracając mnie na ziemię. Sądziłem, że baron stracony, ale w tejże chwili krzyk dziki rozległ się w głębi i, gdym

się podnosił, ujrzałem starą, stojącą przed ogniem w łachmanach, z głową w tył odrzuconą i włosami rozwianymi na ramionach; podniosła wychudłe ręce ku niebu, wydając ponure wycia, podobne do skargi wilka w mroźną noc zimową, kiedy głód szarpie mu wnętrzności.

Nic w życiu równie okropnego nie widziałem. Sperwer, nieruchomy, z nawpół otwartymi ustami, zdawał się skamieniały. Pies nawet zatrzymał się, ujrawszy to niespodziewane zjawisko, ale wnet, zginając grzbiet najeżony gniewem, biegł z głuchym warknięciem, które mnie dreszczem przejęło. Słyszę go jeszcze przeskakującego krzaki, okryte szronem. Widzę, jak baron rzuca się przed starą, wołając rozdzierającym głosem:

— Moja matka!...

Widzę, jak pies daje ostatniego susa, a Sperwer, szybszy, niż błyskawica, mierzy doń i rozciąga go trudem u stóp młodzieńca.

Wszystko to trwało jedną chwilę. Kotlina zajaśniała światłem, a echa dalekie odbijały wystrzał do nieskończoności. Milczenie, jakie potem nastąpiło, wydało się jeszcze głębszem, jak czarniejszemi wydają się ciemności po błysku.

Gdy dym się rozproszył, ujrzałem psa leżącego u podstawy skały, a starą zemdloną w objęciach młodzieńca.

Sperwer, blady, ze spuszczoną na ziemię kolbą karabinu, patrzył ponuro na barona.

— Baronie Blouderic! — ozwał się, wyciągając ku niemu rękę — zabiłem mego najlepszego przyjaciela, aby uratować tę kobietę... twoją matkę. Podziękuj niebu, że losy jej związane są z losami hrabiego. Zabierz ją stąd!...

zabierz!... i niech już nigdy nie wraca, bo nie odpowiadam za starego Sperwera.

Poczem, spojrzawszy na martwe zwierzę:

— O mój biedny Lieverlé! — zawołał rozdzierającym głosem. — Toż mnie więc tutaj czekało!... Pójdź, Franku!... jedźmy... uciekajmy... bo może być nieszczęście!

I, chwytając konia za grzywę, chciał wskoczyć na siodło, ale nagle żal go zwyciężył i, kryjąc twarz w dłoniach, zaczął płakać, jak dziecko.



Mierzy doń i rozciąga go trupem u stóp młodzieńca

XIII.

Sperwer odjechał, uwożąc Lieverlé'go w płaszczu. Nie towarzyszyłem mu; obowiązkiem moim było zostać przy starej, której udzielić pomocy nakazywało mi sumienie.

Zresztą, wyznać mi trzeba, byłem ciekawy zobaczyć z bliska tę dziwną istotę; ledwo też dojeżdżacz zniknął w ciemnościach, wszedłem w kotlinę. Czekano mnie tam dziwne widowisko.

Na futrzanym płaszczu, pokrytym ciemno-zielonym aksamitem, leżała stara w długiej purpurowej sukni, z rękami zaciśniętymi na piersiach, ze złotą wierzalą w siwych włosach.

Choćbym żył sto lat, nie zapomnę tego obrazu. Straszna była ta głowa o profilu sępa, drgająca ostatnimi objawami życia, te oczy osłupiałe i wpółotwarte usta. Taką chyba musiała być w ostatniej godzinie okrutna królowa Fredegonda.

Baron, klęcząc przy niej, usiłował ją ocucić, ale od pierwszego rzutu oka przekonałem się, że wszystko stra-

cone, i z prawdziwym politowaniem schyliłem się, aby ująć rękę nieszczęśliwej kobiety.

— Nie dotykaj się pan! — zawołał młodzieniec z rozdrażnieniem — zabraniam ci tego.

— Jestem lekarzem, panie baronie.

Patrzył na mnie chwilę w milczeniu, poczem, powstając:

— Przebacz mi pan — wyszeptał — przebacz!

Pobladł i usta drżały mu nerwowo.

Po chwili zapytał:

— I cóż?

— Wszystko skończone. Umarła!

Wtedy, nie mówiąc nic, usiadł na kamieniu, oparłszy łokieć na kolanie, a czoło na rękę, i siedział tak nieruchomy, jak posąg.

Zająłem miejsce przy ogniu i, milcząc, także patrzyłem, jak czerwony płomień ślizgał się fantastycznymi zygzakami na martwej twarzy starej.

Upłynęła może godzina, gdy wreszcie baron podniósł głowę i rzekł:

— Panie! wszystko to jest dla mnie niepojęte. Oto moja matka, którą zdawało mi się, że znam od lat dwudziestu sześciu... tymczasem cały świat tajemnic i okropności roztwiera się przede mną. Jesteś pan lekarzem... czy widziałeś kiedy coś równie przerażającego?

— Panie baronie — odparłem — hrabia Nideck dotknięty jest chorobą, przedstawiającą szczególne podobieństwo z chorobą matki pana. Jeżeli masz pan we mnie tyle zaufania, byś mi powierzył fakta, których byłeś świadkiem, ja nawzajem odkryję ci to, co wiem,

bo zamiana ta mogłaby mi może wskazać sposób uratowania mego pacyenta.

— Chętnie — odparł baron.

I bez żadnych wstępów powiedział mi, że baronowa Blouderic, należąca do jednej z najznakomitszych rodzin saksońskich, odbywała corocznie podróż do Włoch w towarzystwie starego sługi, który posiadał całe jej zaufanie; że ten człowiek, umierając, wezwał do siebie syna swej pani i, dręczony zapewne wyrzutami sumienia, wyznał mu, że podróże baronowej do Włoch bywały tylko pokrywką wycieczek do Szwarzwaldu, których cel był jemu niewiadomy, ale które musiały mieć w sobie coś strasznego, bo baronowa wracała z nich wycieńczona, w lachmanach, prawie umierająca i potrzebowała kilka tygodni wypoczynku, by odzyskać siły, wyczerpane w ciągu tych paru dni. Baron, chcąc bądź co bądź dowiedzieć się całej prawdy, sprawdził tego właśnie roku opowiadanie starego sługi, jadąc w ślad za matką aż do Badenu. Tam widział, jak się zagłębiała w wąwozy Szwarzwaldu i śledził ją prawie krok w krok. Ślady, które Sebalt spostrzegł, były jego.

Usłyszawszy to wyznanie z ust barona, nie uważałem za stosowne ukrywać przed nim dziwnego wpływu, jaki stara wywierała na barona, ani innych okoliczności tajemniczego dramatu.

Obaj byliśmy jakby oszołomieni: nic niewidzialna, łącząca te dwie istoty zupełnie sobie obce, tragiczna scena, jaką obie bezwiednie odgrywały, znajomość zamku i jego kryjówek, jaką okazywała stara, nigdy w nim przedtem nie będąc, ubiór, jaki musiała odkryć gdzieś w tajemnym schowaniu, które jej jasnowidzenie magne-

tyczne ukazało — wszystko to wprawiało nas w podziw, wszystko było niepojęte. Zgodziliśmy się wreszcie na jedno, że śmierć jest może jedną z najmniejszych tajemnic, jakie Bóg dla siebie zachował, choć się nam najważniejszą wydaje.

Tymczasem noc bladła. W oddali gdzieś sowa żegnała ciemności tym krzykiem dziwnym, który ma w sobie coś złowrogiego. Wkrótce w głębi wąwozu dało się słyszeć rżenie i przy pierwszym brzasku dnia ujrzelśmy sanki, któremi masztalerz barona powoził. Złożyliśmy na nich starą.

Ja dosiadłem konia, który rad był, że sobie rozprostuje nogi, stojąc połowę nocy na wodzie, i towarzyszyłem sankom, aż do wyjścia z wąwozu. Tam pożegnaliśmy się poważnie; oni zwrócili się na lewo w stronę Hirschlandu, a ja skierowałem się ku wieżom zamku Nideck.

O dziewiątej byłem już w obecności panny Odili i zdawałem jej sprawę z zaszłych wydarzeń.

Udałem się następnie do hrabiego. Znalazłem go w bardzo zadowolającym stanie. Osłabiony był tylko, co zresztą było rzeczą naturalną po tak strasznych atakach, ale odzyskał przytomność i gorączka opuściła go zupełnie. Wszystko więc zmierzało ku rychłemu wyzdrowieniu. W kilka dni potem, widząc go w zupełnie dobrym stanie zdrowia, chciałem powrócić do Fryburga, ale prosił mnie tak usilnie, abym na stałe w zamku jego zamieszkał, i przedstawił mi tak korzystne pod każdym względem warunki, że odmówić było nie sposób.

Długo będę pamiętał pierwsze polowanie na dziki, w którym uczestniczyłem, a zwłaszcza wspaniały powrót z pochodniami do zamku po dwunastogodzinnych

harcach na śniegu. Po kolacyi udałem się, zmęczony nad wszelki wyraz, do wieży Hugona, gdy, przechodząc koło pokoju Sperwera, usłyszałem wesole okrzyki. Spojrzałem przez drzwi uchylone i najprzyjemniejszy widok przedstawił się moim oczom.

Dokoła dębowego stołu siedziało ze dwadzieścia osób. Dwie lampy żelazne, zwieszające się od sklepienia, oświetlały te twarze szerokie, poczciwe, rozpromienione.

Był tam Sperwer ze swymi długimi wąsami, błyszczącymi oczyma i najeżoną siwą czupryną; policzki miał zarumienione, w dłoni trzymał starożytny srebrny puchar, a malowniczy strój myśliwski uwydatniał jego silne kształty.

Po prawej stronie siedziała Marya Lagoutte w wielkim tiulowym czepcu, śmiejąc się, rozmawiając i kręcąc na wszystkie strony.

Po lewej wychylała się z głębokiego fotelu głowa Knapwursta, dostająca Sperwerowi zaledwie do łokcia. Dalej widać było pana Tobiasza Offenlocha, czerwonego jak piwonia, a dalej jeszcze długą, melancholijną twarz Sebalta, który śmiał się pocichu, zapatrzony w dno szklanki.

Była tam także służba, domownicy, oficjaliści, słowem cały ten światek, który żyje i rozwija się dokoła możnych rodzin, jak mech i powój u stóp dębu.

Na stole, pomiędzy półmiskami obciążonymi mięsami, butelki wina reńskiego wyciągały swe długie szyje, połyskiwały noże o szerokich ostrzach i leżały fajki ulmeńskie ze srebrnymi łańcuszkami. Światło lamp oblewało to wszystko, pozostawiając w cieniu szare mury,

na których w złotych kęgach zwijały się trąbki i wi-
siały inne przybory myśliwskie.

Sperwer, wznosząc kielich, śpiewał pieśń burgrafa
Hattona Czarnego:

„Jam pan tych gór!“

Ale zobaczywszy mnie, przerwał i, podając mi rękę,
zawołał:

— Ciebie nam brakowało, Franku. Oddawna nie byłem
tak szczęśliwy, jak dzisiaj.

A gdy patrzył na niego z podziwem, bo od śmierci
Lieverlé'go uśmiech nie pojawiał mu się na ustach, do-
dał poważnie:

— Obchodzimy wyzdrowienie naszego pana i Knap-
wurst opowiada nam rozmaite historye.

Wszyscy zwrócili się ku mnie, witając mnie rado-
snymi okrzykami.

Zanim zdołałem się opamiętać, wciągnięto mnie, po-
sadzono przy Maryi Lagoutte i wetknięto mi w rękę ogro-
mną szklanicę wina.

Sperwer objął mnie za szyję i, podchmielony trochę,
wołał:

— Oto mój wychowanek! oto mój syn! Ja i on... on
i ja... razem aż do śmierci! Za zdrowie doktora!

Knapwurst, stojąc na fotelu, trącał się ze mną szklan-
ką, Marya Lagoutte fruwała skrzydlami swego czepca,
Sebalt, stojąc wyprostowany, powtarzał: „Za zdrowie
doktora!“, a śmiech i brzęk kieliszków napełniał całą
salę.

Uciszyło się na chwilę. Wszyscy pili, poczem, jakby
na komendę, szklanki o stół stuknęły.

— Brawo! — wykrzyknął Sperwer, a zwracając się
do mnie, dodał:

— Wznosiliśmy już zdrowie hrabiego i panny Odili.
I ty je spełnić musisz!

Wychyliłem więc dwukrotnie do dna wielki puhar
i rozjaśniło mi się jakoś w oczach, a twarze obecnych
wydały mi się takie miłe, dobre i pocziwe, że miałem
ochotę wyściskać się i wycalować z każdym po kolei.

Sperwer śmiał się ciągle i pośpiewywał. Nagle po-
łożył rękę na garbie Karła i rzekł:

— Cicho! teraz Knapwurst, nasz archiwista, ma głos!
Ten garb, widzicie, to echo dawniejszych czasów!

Garbusek, zamiast się za ten komplement obrazić,
spojrzał z rozrzewnieniem na dojeżdżacza i odparł:

— A ty, Sperwerze, ty jesteś jednym z tych starych
rajtarów, o których wam opowiadałem. Tak, masz ramię,
wąsy i serce starego rajtara. Gdyby się to okno otwo-
rzyło i który z nich wyciągnął do ciebie rękę z pomiędzy
cieniów, co byś mu odpowiedział?

— Ucisnąłbym mu rękę i powiedziałbym: „Przy-
jacielu! pójdz, usiądz z nami. Wino jest równie dobre
a dziewczęta równie ładne, jak za czasów Hugona. Patrz!“

I Sperwer pokazywał na uśmiechnięte dokoła stołu
twarzyczki.

Istotnie były one bardzo ładne, te nideckie dziewczę-
ta! Jedne rumienily się z radości, inne podnosiły zwol-
na długie złote rzęsy, osłaniające lazurowe wejście,
a ja dziwiłem się sam sobie, że nie zauważył dotąd
tych różyczek, rozkwitających wśród murów starego zam-
czyska.

— Cicho! — zawołał Sperwer po raz drugi. — Nasz

przyjacieli Knapwurst powtórzy nam legendę, którą nam już dzisiaj opowiadał.

— Dlaczegoż tę a nie inną? — spytał garbusek.

— Ta mi się podoba.

— Umiem piękniejsze!

— Knapwurst! — rzekł Gedeon, podnosząc palec z powagą — mam moje powody, dla których chcę ją usłyszeć raz jeszcze. Mówi ona bardzo wiele rzeczy. A ty, Franku, uważaj.

Karzeł, nawpół podpity, położył łokcie na stole i, pięściami podparłszy policzki, wykrzyknął przenikliwym głosem:

— A więc słuchajcie! „Bernard Hertzog opowiada, że burgraf Hugo, przewany Wilkiem, zestarzewszy się, przywdział kaptur z siatki żelaznej, który mu całą głowę okrywał, i nie zdejmował go aż do osmdziesiątego drugiego roku życia. Ale w tym wieku zaledwo już mógł oddychać. Wtedy wezwał Ottona Burlacha, swego kapelana, swego starszego syna, Hugona, swego młodszego syna, Bartholda, i swoją córkę, Bertę Rudę, żonę wodza saksońskiego nazwiskiem „Blouderic, i rzekł im:

— „Matka wasza, Wilczyca, użyczyła mi swoich pazurów, krew jej zmieszała się z moją. Odradzać się w was będzie przez wieki i jęczeć wśród śniegów „Szwarcwaldu. Jedni powiedzą: To wiatr wyje! drudzy: „To sowa! Ale to będzie krew wasza, moja, krew Wilczyca, za sprawą której udusiłem Jadwigę, moją pierwszą żonę w obliczu Boga i Świętego Jego Kościoła. „Tak... jam sprawcą jej śmierci. Niech Wilczyca będzie „przeklęta! Albowiem powiedziano jest: Poszukiwać bę-

„dę zbrodnię ojca w jego potomkach, dopóki się sprawa „wiedliwości zadość nie stanie.

„A stary Hugo umarł.

„A od tego czasu wiatr wyje, sowa jęczy, a wędrowcy, zablakani w nocy, nie wiedzą, że to krew Wilczyca pokutuje... krew, która odradza się — powiada „Hertzog — i odradzać się będzie przez wieki, dopóki „Jadwiga Złotowłosa nie pojawi się znów w Nidecku w postaci anioła, przynosząc pociechę i przebaczenie“.

Sperwer wstał i, zdjawszy jedną lampę, zażądał klucza od biblioteki od zdumionego karła i dał mi znak, abym szedł za nim.

Minęliśmy szybko wielką galerię, zbrojownię i wkrótce sala archiwalna ukazała się nam w końcu korytarza.

Dokoła było cicho zupełnie, jakgdyby zamek opustoszał. Kilka razy odwracałem głowę i widziałem wtedy cienie nasze długie i dziwacznie pokręcone, sunące się po ścianach.

Strach mnie ogarnął niepojęty.

Sperwer popchnął ciężkie drzwi dębowe i wszedł pierwszy. Tam, przed portretem Jadwigi, którego podobieństwo z hrabianką uderzyło mnie od pierwszego wejrzenia, zatrzymał się i rzekł uroczyście:

— Oto ta, która ma przyjść z pociechą i przebaczeniem... Już przyszła! W tej chwili jest tam na dole, przy starym. Patrz, Franku, czy poznajesz ją? To Odila!

Poczem, zwracając się ku portretowi drugiej żony Hugona:

— Co do tej — mówił dalej — to Huldina Wilczyca.

Przez tysiąc lat jęczała w wąwozach Szwarewaldu i ona to jest przyczyną śmierci mego biednego Lieverlé; ale teraz hrabiowie na Nidecku mogą już spać spokojnie, bo sprawiedliwości stało się zadość i dobry anioł rodziny powrócił.

KONIEC.



61675
64006

„CYCLAMEN” Wyborne **PERFUMY**
F. PULS.
TOW. AKC. w WARSZAWIE
DOSTAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH LEPSZYCH PERFUMERJACH.